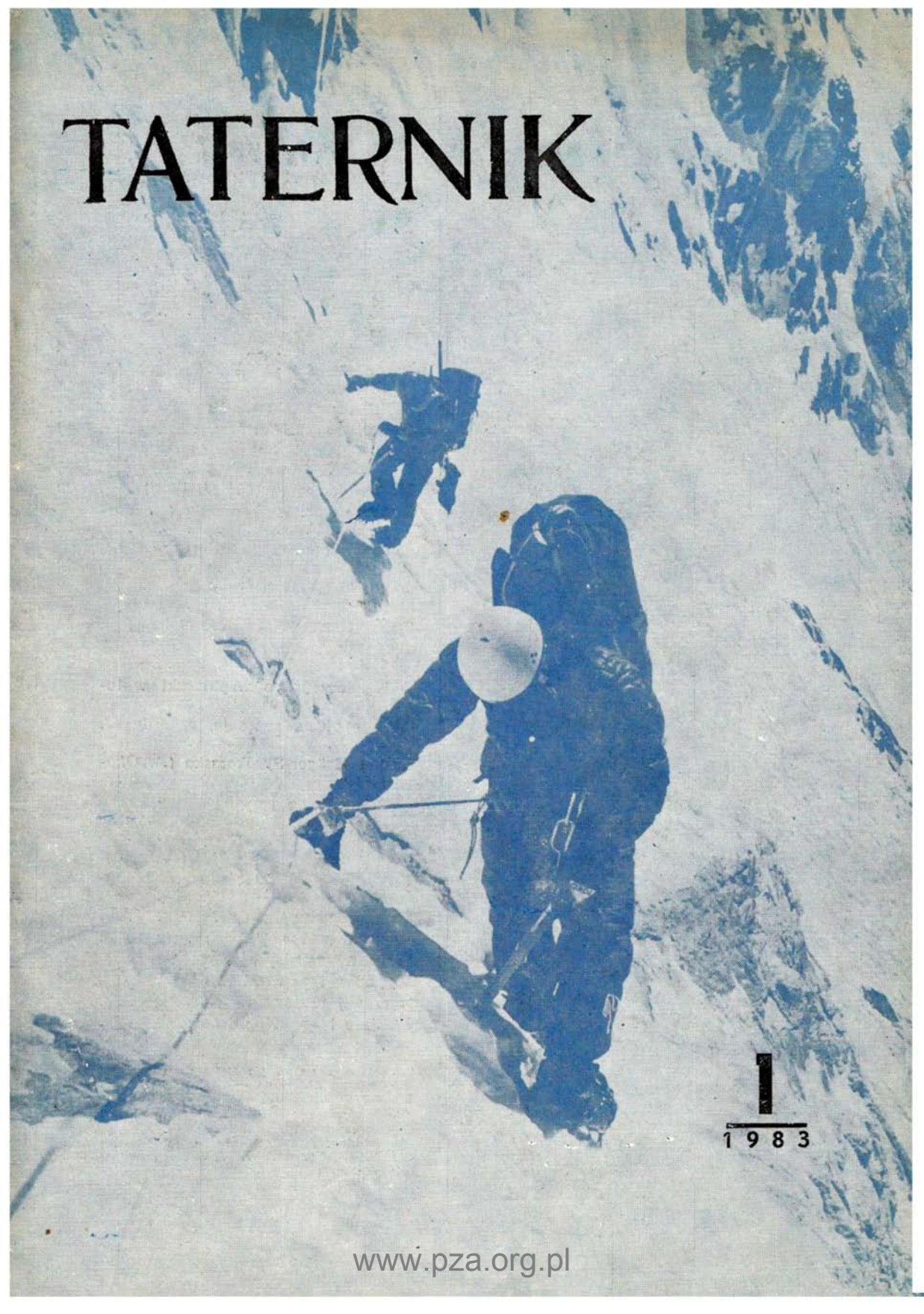


TATERNIK



1
1983

TREŚĆ

Polskie środowisko alpinistyczne 1980—1983 (<i>A. Paczkowski</i>) . . .	1
80 lat na wspólnej linii (<i>J.A. Szczepański</i>)	4
FFM — problemy podobne do naszych (<i>H. Sławińska</i>)	6
Polsko-meksykańska wyprawa na K2 (<i>J. Kurczab</i>)	7
Warszawska wyprawa „Makalu 1978” (<i>J. Kurczab</i>)	11
Makalu 1981 — nową drogą (<i>W. Kurtyka</i>)	12
Zachodnia ściana Makalu 1982 (<i>A. Bilczewski</i>)	14
Drogi na Makalu (<i>Z. Kowalewski</i>)	16
Zgoniło nas . . . (<i>A. Machnik</i>)	17
Trzy dni na ośmiu tysiącach (<i>A. Czok</i>)	18
Matterhorn zimą 1983 (<i>J. Wolf</i>)	20
Zimowy obóz w Chamonix (<i>A. Marcisz</i>)	22
Zimowy sezon taternicki 1982—83 (<i>A. Skłodowski</i>)	23
Odkrycie Suchych Czub Kondrackich (<i>M. Pawlikowski</i>)	26
Zadni Gierlach 1944 (<i>J. Nyka</i>)	28
Sezon w Tatrach i po sezonie (<i>J. Kolbuszewski</i>)	28
O bezpieczeństwo wspinaczki w lodzie (<i>P. Schubert</i>)	29
Alpy — idee, sensacje, rekordy (<i>J. Nyka</i>)	32
Halina Krüger-Syrokomska (<i>A. Okopińska</i>); Od Kazalnicy do Gasherbrumów (<i>A. Skłodowski</i>)	36
Góry i doliny po naszymu (<i>L. Schubert</i>)	39
Polacy na Dhaulagiri 1983 (<i>A. Lwow</i>)	42
Konferencja Himalajska w Monachium (<i>J. Nyka</i>)	42
Co nowego w Tatrach?	43
Nowe drogi w Tatrach	44
Wyprawy w góry egzotyczne	10, 45
Wypadki i ratownictwo	46
Z naszej poczty	46
Jaskinie i speleologia	49

Zdjęcie obok: Georges Bettembourg na wschodnim filarze Shivlinga — przykład trudności, jakie się dziś pokonuje w Himalajach.

Fot. Doug Scott

Na okładce: Jugosłowianie na południowej ścianie Makalu w 1975 r. Travers powyżej obozu IV (8150 m).

Fot. Stane Belak

TATERNIK

ANDRZEJ PACZKOWSKI

Polskie środowisko alpinistyczne 1980–1983

Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że operowanie cezurami wynikającymi z rocznic, zebrań czy zjazdów bardziej utrudnia, niż ułatwia ogarnięcie i zrozumienie minionych wydarzeń, grozi biurokratyzacją ocen, skłaniać może do przeceniania działań organizacyjnych (i samej organizacji), a negowania spontanicznej aktywności środowiska. Takie są jednak wymogi chwili, aby z okazji spotkań uprawnionych reprezentantów całej naszej społeczności postarać się o refleksję nad tym, co działo się (lub nie działo, a działa powinno) w minionych latach, albowiem refleksja taka może być pomocna w dalszym programowaniu.

Kiedy w październiku 1980 r. obradował poprzedni Walny Zjazd (zob. T. 1/81 s. 3), mało kto mógł przewidzieć, w jakich warunkach przyjdzie nam działać — zarówno jako obywatelom, jak i jako członkom tego, co nazywane bywa „ruchem wysokogórskim”. Jakich wydarzeń będziemy świadkami, jakie obciążenia psychiczne — poza tymi, które wynikają z „balansowania na skraju (górskiej) przepaści” — będziemy znosić, jakie nowe utrudnienia napotkamy w swej wspinaczkowej i organizacyjnej aktywności, jakie podziały będą mogły wstąpić w nasz górski światek ze świata, w którym żyjemy...

Nowe warunki — nowe zadania

W przytłaczającej większości, mimo ewidentnych nieraz zaangażowań na innych polach, środowisko nasze zachowało w tym burzliwym — nawet jak na Polskę — czasie aktywny stosunek do swoich górskich pasji. Żaden z dotychczasowych czy nowo zamierzonych kierunków naszej działalności górskiej nie został zarzucony, choć zarówno warunki wywołane wprowadzeniem stanu wojennego, jak i kryzys gospodarczy wraz z antyinflacyjnymi posunięciami władz silnie warunkowały, i warunkują nadal, poczynania tak organizacji, jak i poszczególnych taterników. Trudno byłoby się zresztą spodziewać, że jako środowisko — PZA, przetrzaskane w nim kluby, ludzie — możemy stać

się enklawą, należy nawet wątpić, czy byłoby to właściwe.

W najmnijszym bodajże stopniu dotknęły nas podziały polityczne, co po części przynajmniej wynika ze znacznej jednorodności socjalnej środowiska, niskiego stopnia profesjonalizacji polskiego alpinizmu oraz nadrzędności pasji i zainteresowań górskich. Jako organizacje — zarówno PZA, tak i kluby — w stopniu mniejszym, niżby to się mogło wydawać, odczuliśmy też skutki kryzysu: inflacyjna złotówka raczej wartko napływa do wielu kas, dość wydatnemu wprawdzie ograniczeniu uległy możliwości zaopatrywania się w dewizy (zwłaszcza w strefie rublowej), nie na tyle jednak, by sparaliżować działalność wyprawową czy alpejską. Dotkliwiej natomiast wpłynął kryzys na indywidualną stopę życiową wielu z nas.

I tu pierwsza uwaga. W takiej sytuacji społeczność, przede wszystkim klubowa, nabiera nowego znaczenia i powinna przyjąć na siebie nowe zadania. Jeśli w warunkach względnej stabilizacji i dostępności tzw. dóbr konsumpcyjnych organizacja jest nam potrzebna zasadniczo do podejmowania niektórych tylko działań — np. wymagających nadzwyczajnych wydatków — o tyle w warunkach dnia dzisiejszego winna ona być wykorzystywana także do niesienia pomocy w codziennym górskim życiu. Wypadałoby więc zrewidować hierarchię klubowych wydatków, w której troska o należyte wyżywienie i wyekwipowanie przeniosłaby się, choćby częściowo, z uprzywilejowanych uczestników wypraw na tych, zwłaszcza młodych, którzy w tak trudnych latach rozpoczynają swoją górską przygodę. Trudno przełamać pewne schematy, trudno też zrezygnować z indywidualnych interesów, a przecież większość osób działających w klubach i PZA należy (co jest dość naturalne) do tych generacji, które poza Tatrami lokują swoje ambicje. Dla dobra środowiska jako całości, w trosce o jego wewnętrzną solidarność, trzeba jednak pamiętać o tym, że są kole-dzy, których stać dziś tylko na makaron i chleb z cebulą, którzy nie mogą kupić

liny za 6 i pół tysiąca czy karabinka za 2 tysiące.

Od pewnego czasu Zarząd PZA intensyfikuje (dzięki niezmordowanej, choć nie zawsze popularnej działalności Zbyszka Skoczylasa) swoją aktywność w Tatrach, dążąc do stworzenia skromnej, ale własnej bazy, niezależniającej taterników od tłoku i cen w schroniskach. Chcemy także rozszerzać (ilościowy) zakres opieki nad utalentowaną młodzieżą, czego niestety nie ułatwia obojętny często stosunek wielu klubów do tej grupy naszych kolegów. Podnoszą się głosy — uznajemy je za skrajne — aby w ogóle skoncentrować obecnie działania Związku na sprawach tatrzańskich i na tych, którzy tylko w Tatrach mają możliwość się wspinać. Osobiście jestem przeciwnikiem gwałtownych zmian kursu, ale sprawa nadaje się do dyskusji, choćby po to, aby łatwiej było znaleźć złoty środek.

Związek sportowy czy „Orbis”?

Istniejące ograniczenia, m.in. swobody poruszania się i wyjazdów, sprawiły, że wznowiona została dyskusja nad modelem naszych organizacji. Czy mają to być zrzeszenia po prostu górskie, czy też kluby zajmujące się wyłącznie sportem wyczynowym? Mówiąc w skrócie i uproszczeniu: czy PZA ma być czymś w rodzaju „biura podróży” dla wszelkich górskich eskapad, czy też ograniczać się do wspierania przedsięwzięć mających wysokowyczynowe ambicje? Dotychczas, mniej lub bardziej szczęśliwie, staraliśmy się godzić oba te modele, gdyż — jak dotąd — nie wyłoniły się odpowiednio sprawne organizacje, które stanowiłyby dla Związku to zaplecze, jakie dla innych dyscyplin stanowią kluby i zrzeszenia ogólnosportowe, będące terenem inicjacji do życia boiskowego.

Mimo zmian, jakie zaszły po powstaniu PZA (a to już blisko 10 lat!), jesteśmy wciąż — z punktu widzenia normalnej u nas procedury sportowej, bardziej czymś w rodzaju „superklubu”, niż zwykłym związkiem, który nie zajmuje się przecież szkoleniem na poziomie podstawowym i nie utrzymuje bazy dostępnej dla każdego, kto daną dyscyplinę uprawia. Nawet gdybyśmy nie zamierzali dotychczasowego stanu zmienić, warto się chyba nad nim zastanowić, choćby po to, aby pełniej zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jakie za sobą pociąga.

Żyjemy w warunkach różnorodnych reglamentacji. Jedne z nich są świeżej daty, inne jednak mają dawniejszą tradycję. Do tych dawniejszych trzeba zaliczyć ograniczenia dotyczące naszego codziennego górskiego bytowania, a związane z ochroną przyrody. Do tej pory mieliśmy z nimi do czynienia w Tatrach, ostatnio również w skałkach. Jest naturalne, że ograniczenia te budzą odruch sprzeciwu. Wszakże nie wszystko, co oczywiście, jest piękne i dobre. Nie dość chyba jednak przypominania, że niektóre z tych

ograniczeń winniśmy uznać za zasadne, zaakceptować je i respektować. Skoro przez swych upelnomocnionych i demokratycznie wybranych przedstawicieli przyjęliśmy kiedyś założenia społecznie uzasadnionej ochrony przyrody gór, dochowajmy wynikających z nich zobowiązań. Broniąc się przed rozszczeniami nieuzasadnionymi i walcząc o pozostawienie w Tatrach miejsca także dla taterników, wywiązujemy się przynajmniej ze złożonych przyrzeczeń. Czyniąc tak, łatwiej znajdziemy dla siebie miejsce, a może nawet znajdziemy go więcej. Nie licząc na to, że kontrowersje mogą łatwo zniknąć, dążymy jednak do tego, by nie przerodziły się w trwałe konflikty, który w istocie nie posłuży nikomu — ani górskiej przyrodzie, ani nam.

O powrót na alpejski szlak

Jako środowisko z utrudnionym dostępem do Alp, nigdy nie byliśmy alpejską potęgą (inaczej jest w górach najwyższych, do których dostęp jest dla wszystkich jednakowo trudny). Ale przez wiele lat polscy wspinacze w Alpach, Dolomitach, Kaukazie nie „ginęli w tłumie”. Od pewnego jednak czasu zaznacza się — głównie względem poziomu innych — dość wyraźny regres. Pierwsze przejścia zimowe markowych dróg należą do rzadkości, nowych dróg niemal się nie wytycza, sporo powtórzeń odbiega stylem (i czasem przejścia) już nie od aktualnej czołówki, lecz od średniej. Nie zachęcam bynajmniej do rywalizacji par force, nie podżegam też do szowinistycznej konkurencyjności. Mówię o tym, bo wydaje mi się ten stan symptomem zjawiska, które nazwać by można „trekingizacją” polskiego alpinizmu (ta trekingizacja bywa często — choć nie tylko ona — sprzężona ze zbytnią komercyjnością wyjazdów). Oczywiście, przyczyny tzw. obiektywne ostro zredukowały możliwości wspinaczkowe w Alpach w czasie stanu wojennego. Ale tendencja ta zarysowała się wcale nie w roku 1982 — jest ona o co najmniej kilka lat wcześniejsza. Żle rokuje, oczywiście, na przyszłość. Alarm powinien się rozleć tym głośniejszy, że ma ona swój odpowiednik także i w... Tatrach. Między bardzo wąską czołówką, która trawi sezony całe na Kazalnicy i Mniuchu, a wielką rzeszą „deptaczy” Żabiej Czuby i Żabiego Mnicha istnieje nieomalże przepaść i wielki obszar „ziemi niczyjej”. Z omówienia ostatniego sezonu zimowego wynika, że nie było prawie w ogóle przejść w rejonie Żabiej Turni i Wołowego Grzbietu, że omijano Mięguszowiecki Szczyt (nie licząc skalnej zerwy filara), że nie gustowano w klasycznych dużych drogach śnieżnych. Wędnicy kto miałby „siekać” w Alpach?

By kominy nie przesłoniły gór

Potrzeba jest matką wynalazków. Już chyba z ćwierć wieku temu półprofesjonalni wspinacze, przyciśnięci brakiem gotówki, zaczęli zarabkować wykonując tzw. prace wy-



Wspinaczka zimowa w Snieżnych Kotłach w Kar-konoszach (na tzw. Mokrych Ścianach).

Fot. Roman Hryciów

sokościowe. Nie brakło przy tym aktualnych mistrzów skalnych szlaków — przypominę, że jednym z zespołów roboczych kierował Czesio Momatiuk, inny zaś tworzyli Janek Długosz, Zbyszek Jurkowski, Andrzej Nowacki i Ryś Berbeka. Zarabiano w ten sposób na wyjazdy w góry lub, po prostu, na życie. Później tymi możliwościami zainteresowały się niektóre kluby, wykonując kawał dobrej roboty: wypełniono lukę w potrzebach gospodarki, dawano — czasem nieźle — dodatkowe zarobki wspinaczom, coraz wydatniej uzupełniano budżety organizacyjne. Kluby, co bardziej prężne i przedkładające swoiste samofinansowanie nad podstawianie garnuszka pod strumyk (coraz wąlejszy) państwowych subwencji, stały się potentatami finansowymi, a ich roczny prze-rób bywa nieraz wyższy aniżeli cały budżet Związku. Ta inicjatywność, ze wszech miar godna poparcia, niesie jednak z sobą pewne niebezpieczeństwa, o których warto porozmawiać, aby w miarę możliwości neutralizować ich skutki.

A więc może grozić zafascynowanie działalnością gospodarczą, zbytne zaangażowanie się w nią (także od strony organizacyjnej) wielu aktywnych działaczy, a nawet całych zarządów, dla których zdobycie pewnych robót może stać się celem samym w sobie. Zła jest zasada, że cel uświęca środ-

ki, ale wcale nie lepsza jest inna: że środki są ważniejsze od celu. Grożą, jak niemal wszędzie, gdzie ocieramy się o pieniądze, dodatkowe konflikty: wewnątrz klubów, na tle podziału intratnych robót i pomiędzy klubami, na tle rywalizacji o zlecenia. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt istnienia komercyjnych przedsiębiorstw (prywatnych, spółdzielczych etc.) zajmujących się pracami wysokościowymi. Póki trwa hossa, kłopotów może przysparzać rywalizacja pracodawców o ekipy wykonawcze, gdy skończą się zlecenia — może wystąpić rywalizacja ekip.

Ubóstwo jest przykre, trudno z nim żyć. Pamiętajmy jednak, że „bogactwo” może demoralizować, że pieniądź chce rodzić pieniądze. Czy nie stoimy wobec groźby pojawienia się ludzi, którzy zapiszą się do klubu, lub nawet będą walczyli o to, by być w nim działaczami, po to tylko, żeby nieźle zarobić (za ciężką zresztą pracę)? Że wywierać będą naciski na dogodne dla nich dzielenie wypracowanych środków, niekoniecznie licząc się z uzasadnionymi społecznymi celami, czy po prostu zadaniami statutowymi swej organizacji.

Dość nieszczęsny obrót przybrała sprawa „Regulaminu stopni” i wynikających zeń uprawnień wspinaczkowych. Pomyślany jako tama, mająca zapobiegać zbyt szybkiemu wkraczaniu na trudne drogi, hamować wy-bujające ambicje, jako jeden z wielu przejawów troski o bezpieczeństwo w górach, odczytany został jednoznacznie jako nieuzasadnione ograniczanie swobody i zawada na drodze ku urzeczywistnianiu górskich marzeń. Mimo wielokrotnych prób i gróźb, mimo rejestrowania łamiących przepisy, jest on notorycznie lekceważony. Zasięg ilościowy przekroczeń wskazuje na to, że chyba nie jest możliwe opanowanie sytuacji środkami dyscyplinarnymi i nasuwa uwagę, że może w całej tej konstrukcji jest coś niewłaściwego: albo sama zasada, albo jej roz-wiązanie. Wymaga to w każdym razie dość szybkiej interwencji, gdyż obecna sytuacja staje się źródłem swoistej demoralizacji.

Nie podejrzewam, bym poruszył (nie mówiąc o ich wyczerpaniu) choćby ważniejsze problemy, które stanęły przed nami w ostatnich latach. Sądę, że można by znaleźć wiele innych o niemniejszym znaczeniu — mówmy także i o nich. To wszystko jest bardzo istotne: mówmy, dyskutujmy, kłómy się, szukajmy wspólnie rozwiązań — pamiętajmy jednak przy tym, aby osobiste ambicje (nie wspominając o osobistych interesach) znajdowały się na właściwym dla nich miejscu — po sprawach społecznych.

Wybaczcie mi, że w roku Walnego Zjazdu i dwóch jubileuszy piszę o zagrożeniach, o trudnościach, o negatywnych stronach naszej działalności. Uważam, że taka jest właśnie moja rola, gdy znajdujemy się w swoim gronie, gdy wspólnie myślimy o tym, jak mamy działać i funkcjonować, aby — było lepiej.

80 lat na wspólnej linii



Autor z Jerzym Wala w Paśmie Bablogórskim

STPTT (ten skrót znali wszyscy ludzie gór w Polsce) minęło 80 lat. Jestem wiekowym rówieśnikiem Sekcji — pewnie dlatego mnie przypadło w udziale napisanie o tej organizacji, która miała swe lepsze i gorsze passy — obok lat chwały były nawet lata wegetacji — ale z której wyłonił się Klub Wysokogórski, twórca współczesnego PZA, i która zawsze była motorem i sumieniem polskiego taternictwa.

Gdy powstawała, nic jej nie wróżyło świetnej przyszłości. Obciążały ją wszelkie cechy i znamiona dawnego, skostniałego już taternictwa XIX-wiecznego, które przesunęło swój żywot w nowy wiek XX. Zarówno ówczesni starsi taternicy, jak Pawlikowski, jak i najwybitniejszy przedstawiciel „młodych”, Janusz Chmielowski, nie uwolnili się spod opieki górali, spod wpływów tzw. Chałubińszczyzny, z wszystkimi jej anachronizmami. Chmielowski był pionierem i ponieważ prekursorem, ale takim jest przede wszystkim w naszych oczach, z 80-letniego dystansu. Dla siebie współczesnych był najlepszym — z podopiecznych Klimka Bachledy.

To też skromna nazwa „Sekcja Turystyczna” odpowiadała ściśle rzeczywistości, w jaką weszła STTT po swoim ukonstytuowaniu się 25 lipca 1903 roku. Na przewodniczącego wybrano Chmielowskiego, ale był nim krótko. Po nim miejsce to zajmowali kolejno ksiądz Gadowski oraz profesorowie Łopuszański i Panek, a więc taternicy co się zowie starego autoramentu.

Jednakże sielanka nie miała trwać długo. Bo oto do taternictwa wkroczyli z impetem młodzi lwowianie, z najwybitniejszym spośród nich, Romanem Kordysiem na czele, skupieni w grupie, która nazwała się wyzywająco „Himalaya-Club”. Szybko opanowali oni chromającą Sekcję i stanęli u narodzin klubowego czasopisma (Kordys i Klemensiewicz, 1907) a Klemensiewicz został w r. 1909 — jako pierwszy z „młodych” — przewodniczącym STTT. Młodzi nadali organizacji kierunek sportowy, wprowadzili zasadę balotażu członków i podjęli skuteczną rywalizację z bardzo wówczas aktywnym i wybitnymi indywiduálnościami dysponującym taternictwem z południowej strony Tatr — Węgrów oraz Niemców ze Spisza i Śląska. Ideowo odciął się Kordys zarówno od społecznikowskiej szkoły Zaruskiego, jak i od najbardziej sugestywnego w swoim młodopolskim estetyzmie programu Mieczysława Karłowicza. W konsekwencji narodził się pierwszy sprzeciw wobec teorii i praktyki Sekcji, ujęty w potępiająco-zazdrosne określenie jej adeptów jako „kapliczki straceńców”. Członkowie STTT przyjęli je nie bez zadowolenia, choć przecież założenia kultury i etyki taternictwa, wypracowane w STTT, nie miały nic wspólnego z ryzykancstwem ponad miarę.

„Front Kordysa” wziął górę i do „himalaistów” doskoczył niebawem drugi rzut młodych, tym razem krakowian — ci nazwali się trochę naśladowczo „Kilimandżaro-Klub”. Sekcją rządził Kordys, ale rządzić ze Lwowa w Krakowie i Zakopanem było coraz trudniej. To też wkrótce zaczęli w niej rejdować krakowianie, Mieczysław Świerż, Walery Goetel... Na tę sytuację spadł sześciolatek (w Polsce) kataklizm I wojny światowej. STTT wyszła z niego ciężko połamana. „Himalaści” już się przy tym zestarli, a z „kilimandżarowców” do czynnego taternictwa wrócił właściwie tylko Świerż. Pomału jednak życie się normowało, wskrzesiła też swoją działalność STTT — już jako STPTT, zgodnie ze zmianą nazwy macierzystej organizacji. Miała bogate tradycje i Świerż umiał się do nich odwoływać — nie znalazł jednak nowych treści dla starej formy.

A tymczasem w Krakowie, a niebawem i w Warszawie, doszli do głosu kolejni „młodzi”, którzy w Tatrach zastali prawie pustkę, a w niej nielicznych z powrotem aktywnych „starszych” taterników. Młodzi chcieli z miejsca przewodzić, i takie było podłoże szybkiego powstania organizacji taternickich przy AZS w Krakowie i Warszawie. Rachunek zrobiono jednak bez gospodarza, któ-

rym okazała się być nadal STPTT z jej wypróbowanym, choć przerzedzonym aktywnym, z jej „Taternikiem” i wdrożonymi do działania agendami. Młodzi, w każdym razie ci z Krakowa, mieli tego świadomość. Byłem jednym z założycieli Sekcji Taternickiej AZS w Krakowie, a przecież za największy zaszczyt poczytałem sobie przyjęcie mnie w poczet członków STPTT w roku 1924. Podobnie rozumował bardzo wówczas czynny Stanisław K. Zaremba, który nadto związał się w skale z Klemensiewiczem, a zatem z tym „himalaista”, który był jeszcze w pełni „na chodzie”.

Dominacja taterników przedwojennych już od r. 1926 należała do przeszłości. Na ten okres przypadło 25-lecie STPTT (1928), na którym „starzy” zawarli sojusz z umiarkowaniem „młodymi”. Nowym przewodniczącym został starszy o 4 lata od Świerza, dystygowany dr Stefan Komornicki, redakcję „Taternika” objął od początku 1929 r. Zaremba. Kompromisu tego większość „młodych” nie uznała za swój i nadal forsowała działalność sekcji spoza STPTT. Rywalizacja o taternicki „rząd dusz” zaogniała się i zaczynała szkodzić nadrzędnym interesom ogólnym. W tych warunkach sprawy raz jeszcze ujął w swoje ręce Kordys, który po wojnie przeniósł się ze Lwowa do Krakowa. Wieczorem dnia 24 czerwca (1929) odbyła się w jego mieszkaniu 4-godzinna narada, w której oprócz gospodarza udział wzięli Jan K. Dorawski oraz piszący te słowa. Kordys doprowadził wówczas do porozumienia między STPTT a środowiskiem STAZS, porozumienia, które weszło w życie w roku następnym. Po linii personalnej: najmłodszy z grupy Świerza, dr Piotrowski, został przewodniczącym Sekcji, w której pierwsze skrzypce przypadły Dorawskiemu; w rok później ja wymieniałem Zarembę na stanowisku redak-

tora „Taternika”. Po linii ideowej: kierunek wyznaczyły założenia sportowe krakowian, a także program, z jakim jesienią 1929 wystąpił Kordys w głośnym artykule „Tater-



Roman Kordys (1886–1934), główny „reżyser” STTT. Zdjęcie reprodukowane po raz pierwszy.

nictwo wczoraj, dziś i jutro”, kulminującym w hasło „Przyszłość taternictwa leży poza Tatrami”. Ubocznym rezultatem porozumienia był szybki udział najruchliwszej dotychczas STAZS w Krakowie.

W moich codziennych zapiskach, jakie prowadziłem w tamtych latach, znalazłem pod datą „poniedziałek 24.VI.1929” te słowa: „ważna dla taternictwa data”. Czy myliłem się? Czy zgrzeszyłem zarozumiałością?

Już w 1. numerze „Taternika” z 1931 roku ukazał się pamiętny artykuł Jerzego Gólcza „Dlaczego Liliowe zamiast Everestu?”. Szybkie wyprowadzenie taternictwa na szerokie szlaki alpejskie, a następnie poza Europę, stało się osią działań STPTT. Ale rychło też wyszły na jaw niedostatki owego porozumienia z czerwca 1929 r. Zawarł je właściwie tylko stary Kraków taternicki z nowym Krakowem. A tymczasem doszło już do ważnego głosu środowisko warszawskie — też jego „drugi rzut”, po pierwszym reprezentowanym przez Szczukę przed 1927 rokiem. Jego lider, Wiesław Stanisławski, uzyskiwał najlepsze w skale i lodzie Tatr wyniki sportowe. To znamienne przesunięcie punktu ciężkości docenił Kordys już w swoim „Taternictwie wczoraj, dziś i jutro”, bijąc czołem przed Stanisławskim. A tu jeszcze wysunęło się do pierwszego szeregu również prężne i dynamiczne środowisko zakopiańskie.

Muszę Dorawskiemu i sobie przyznać, żeśmy dość szybko uznali, iż bez współpracy i współkierownictwa Warszawy STPTT pozostanie tylko jedną z paru ubiegających się o przodownictwo organizacji. Stąd narodzinny ideał przekształcenia jej w Klub Wysokogórski PTT (o wyjściu poza ramy PTT nikt wówczas nie myślał), mający być rodzajem federacji równoprawnych organiza-



Zygmunt Klemensiewicz (1886–1963) — pierwszy z „młodych” prezesów STTT (1909–1911).

cji głównych ośrodków taternickich. Przeszkody ambicjonalno-personalne zamąciły i opóźniły proces scalania, wszyscy jednak uznali jego konieczność. Nastąpiły żmudne i zawiłe rozmowy przedstawicieli środowisk, sfinalizowane w 1935 roku i przypieczętowane 22 września powstaniem KWPTT. Centralę klubu przeniesiono do Warszawy, prezesem został kompromisowy prof. Marian Sokołowski z Krakowa, wiceprezesami Dorawski z Krakowa i Justyn Wojsznis z Warszawy. Po pewnym czasie przeniesiono do Warszawy również „Taternika”, którego redaktorem został wówczas warszawianin Zdzisław Dąbrowski. Pośrednim rezultatem połączenia i realnego układu sił stał się skład personalny II wyprawy w Andy, w której wzięło udział dwu taterników z Warszawy i po jednym z Krakowa i Zakopanego.

Przekształcenia w KWPTT nie dożył już główny architekt spraw STPTT w 30-lecie jej istnienia, Kordys. Do kierownictwa polskim alpinizmem doszło nowe pokolenie, mające za sobą nie tylko sportowy podbój Tatr, ale i pierwsze udane próby wypraw alpinistycznych. Próby te bardzo szybko dojrzały do zorganizowania I polskiej wyprawy w Himalaje (1939).

Na ten świetny i dynamiczny rozwój spadło znowu 6-lecie kataklizmu drugiej wojny światowej. KWPTT wyszedł z niego nie bez ofiar, ale z niezłamanymi siłami, którym dawał wyraz także w warunkach konspiracji. W r. 1945 wróciła do życia również jego macierzysta organizacja: PTT. Jednakże ostre przemiany wewnętrzno-polityczne w życiu państwa podważyły, a w 1950 roku unicestwiły PTT jako odrębną organizację społeczną. Wywołało to długotrwałe perturbacje w

istnieniu KW, który szukał oparcia w różnych organizacjach, nim uzyskał pełną samodzielność w r. 1956 a później jako PZA. Tych spraw to już nie ja mogę być kronikarzem, wkrótce po wojnie wyszedłem przecież, choć nie od razu, z „pierwszego kręgu” działaczy alpinistycznych. Pozwólcie mi jednak na osobisty, liryczny akcent końcowy.

Wyszedłem z okresu wojny z życiem i z nadzieją powrotu do dawnych zajęć. Tak się jednak nie stało. Od 1945 wciągnęła mnie w swe tryby praca dziennikarska, od 1949 zamieszkałem w Warszawie. Próby powrotu do wspinactwa zakończyły się niepowodzeniem — co ciężko przeżyłem — zaś próby powrotu do działalności organizacyjnej uwiły z prozaicznego braku czasu. W dodatku mój bardzo zasadniczy referat ideologiczny, wygłoszony 26 czerwca 1954 r. na Naradzie Alpinistów w Dolinie Chochołowskiej — nasycony zresztą uproszczonym socjologizmem — nie spotkał się z uznaniem większości środowiska, co przyspieszyło moją decyzję wycofania się z grona czynnych działaczy.

Pozostaje pytanie o syntezę działalności ST i KW przy PTT. Uważam, że wniosły one do dziejów polskiego wysokogórstwa szczególnie cenny dorobek: wyraża on się w konkretnych, wybitnych osiągnięciach sportowych i geograficzno-poznawczych, w bujnym rozwoju ideologii polskiego alpinizmu. STPTT (później KWPTT) przetrzymała zwycięsko 2 wojny na ziemiach polskich, stale i ze wszystkich sił chroniła górska przyrodę, dbała o rozwój piśmiennictwa taternickiego, nie zaniedbywała zadań wychowawczych. No i przeprowadziła alpinistów polskich od rzeczywistości Liliowego do — jeśli nie Everestu, to w każdym razie do Nanda Devi Wschodniej. To się liczy.

FFM — problemy podobne do naszych

Ostatnie zebranie Komitetu Himalajskiego *Fédération Française de la Montagne* poświęcone było podsumowaniu wyników francuskich wypraw w góry wysokie. W r. 1982 wyprawy te odniosły nader skromne sukcesy, wiele było za to porażek. Zasadnicze przyczyny — stwierdził Maurice Barrard — to wybór zbyt trudnych szczytów i dróg, lub też zaostrożonych warunków, jak np. zima. Kilka wypraw ucierpiało z powodu złej pogody, ale też część z nich przygotowano na niewłaściwe miesiące. Ujawniły się duże rozbieżności między celami, jakie stawiały sobie wyprawy, a przygotowaniem uczestników, z których wielu wycofało się już w trakcie akcji górskiej. Szczególnie przynębnienie budzą wypadki, przy czym części z nich można było zapobiec. Ustalono więc warunki, jakie winni spełniać lekarze i inne osoby odpowiedzialne za zdrowie wspinaczy. Wiosną 1982 r. wyłoniono w ramach Komisji Lekarskiej FFM gru-

pę lekarzy i ratowników wyspecjalizowanych w obsłudze wypraw i trekkingów. Federacja udostępnia dane o ich kwalifikacjach i możliwościach udziału w wyprawach. W tym roku przed sezonem wyprawowym urządzono dla nich specjalny staż w ENSA. W Katmandu FFM postanowiła założyć magazyn leków i sprzętu medycznego do dyspozycji swoich wypraw, których wyrusza z Francji coraz więcej.

Moda na niektóre regiony powoduje ścisk na trasach dojściowych i miejscach obozowania. Wyprawy powodują zniszczenia w drzewach i krzewach w okolicy. Mnożą się przypadki pozostawiania lin poręczowych i obozów, a nawet śmietnisk po opuszczeniu baz. Uczestnicy obrad byli zgodni co do tego, że przyszłość należy do wypraw małych, oszczędnych, a przy tym świadomych ryzyka i szanujących nietykalność krajobrazu egzotycznych gór.

Helena Stawińska



JANUSZ KURCZAB

Polsko-meksykańska wyprawa na K2

Idea tej ekspedycji zrodziła się jeszcze w bazie wyprawy na K2 w 1976 roku. Inicjatywa organizacyjna należała do Klubu Wysokogórskiego Warszawa (KWW), propozycję współpracy przyjęły Kluby Wysokogórskie w Poznaniu (KWP), we Wrocławiu (KWWr) oraz w Łodzi (ŁKW). Wiosną 1981 r. nadeszło z Pakistanu oficjalne pozwolenie. Opiewało ono na północno-zachodnią grań K2 i okres 120 dni, licząc od 15 czerwca 1982 roku. W dobie kryzysu konieczne stało się znalezienie kontrahenta zagranicznego, który mógłby pokryć większość wydatków dewizowych. Jan Holnicki-Szulc, bawiąc w r. 1981 na stypendium w Meksyku, potrafił namówić do współpracy sympatycznych alpinistów z Grupy Montanismo y Exploración przy uniwersytecie UNAM w Mexico. Delegacja tego klubu przybyła do Warszawy jesienią 1981 r., by podpisać odpowiednią umowę. Na początku 1982 r. do organizacji włączył się PZA, biorąc na siebie sfinansowanie grupy centralnej. Na wiodącego współorganizatora został wyznaczony KWW. Większość uczestników typowanych przez kluby musiała fundusze na wyprawę zapracować podejmując się robót wysokościowych. W tej akcji pomogli nam wydatnie inne zaprzyjaźnione organizacje, wśród których Oddział PTTK Warszawa-Ochota ma udział największy.

I znów na Baltoro

Skład wyprawy przedstawiał się następująco: Roman Bebak (KWWr), Grzegorz Benke (PZA, lekarz), Eugeniusz Chrobak (PZA), Leszek Cichy (KWW), Zbigniew Dudrak (KWW), Marek Grochowski (ŁKW, zastępca kierownika), Jan Holnicki-Szulc (KWW), Tadeusz Karolczak (KWP), Janusz Kurczab (PZA, kierownik), Aleksander Lwów (KWWr), Krzysztof Pankiewicz (ŁKW), Bogumił Śloma (KWW), Ryszard Urbanik (KWW), Szymon Wdowiak (film), Krzysztof Wielicki (PZA), Krzysztof Wiśniewski (kierowca) i Wojciech Wróż (KWP). Stronę mekсыkańską reprezentowali: Lucio Cardenas, Manuel Casanova, Antonio Cortes, Hu-

go Delgado, Enrique Miranda i Eduardo Mosqueda. W sumie wyprawa liczyła 23 osoby, w tym 21 alpinistów.

25 maja 1982 wyruszyła z Warszawy ciężarówka PZA „Jelcz” 315. Grupę samochodową tworzyli oprócz Krzysztofa Wiśniewskiego Cichy, Dudrak, Karolczak i Śloma. Samochód wioził 6 ton naszego bagażu oraz część wyposażenia kobiecej wyprawy na K2. Do Islamabadu dotarli on 17 czerwca. Przejazd — od czasu rewolucji islamskiej po raz pierwszy przez Iran — urozmaicały rewizje celne i... naloty bombowe samolotów irackich. Pozostali uczestnicy polscy przybyli do Pakistanu 15 czerwca. W parę dni później zgłosił się do nas kpt. Sayyed Muazam Shah jako oficer łącznikowy.

W dniach 22—24 czerwca nastąpił transport drogą lądową do Skardu, skąd z pomocą 3 jeepów i 7 traktorów przedostaliśmy się do Lassu. Tu najeliśmy 257 tragarzy, którym przewodził sirdar Iqbal z wioski Khapalu. 6 lipca dotarliśmy do zbiegu lodowców Godwina Austena i Savoi u podnóża K2. W ciągu następnych dwóch dni 44 tragarzy kursowało wahadłowo do bazy na Lodowcu Savoi. Baza stanęła ostatecznie 8 lipca, w miejscu obranym w r. 1975 przez Amerykanów (5300 m).

Nowym szlakiem

Rozważając wcześniej nasze plany sportowe, wysunęliśmy na pierwsze miejsce projekt nowej drogi północno-zachodnią granią K2. Kontynuowanie naszej drogi z r. 1976 granią północno-wschodnią miałoby mniej-

Przełęcz Savoia La, na prawo od niej „Turnie Amerykańskie”. Nad obozem I oba warianty naszej drogi. Na prawo od obozu II — skały „buli”.



w transporcie do bazy głównej. 1 lipca dotarli też do bazy kobiecej Casanova i Kurczab — tego samego dnia po południu odbył się pogrzeb Haliny w szczelinie skalnej koło grobu Mario Puchoz i kopca Artura Gilkeya.

W tym czasie w górnej partii naszej drogi poręczówki zostały podciągnięte do wysokości 7550 m. Punkt ten był już blisko północnego filara K2, gdyż ukształtowanie terenu w dalszym ciągu wyraźnie spychało nas w lewo. Wreszcie 5 sierpnia Holnicki i Lwow założyli na ostrzu filara obóz IV (7600 m). Gdy po noclegu penetrowali nad nim teren, napotkali poręczówki japońskie, wiodące od widocznego 150 m niżej obozu. Lwow poszedł po nich po lewej stronie ostrza filara do wysokości 7750 m, gdzie natrafił na depozyt Japończyków. Poręczówki uciekały stąd w lewo do wielkiej depresji śnieżnej. Holnicki natomiast posuwał się w górę depresją na prawo od ostrza. Tu też było parę rozpiętych lin, ich ciąg urywał się jednak, co wskazywało na to, iż Japończycy zarzucili ten kierunek. Tego samego dnia nasza dwójka zeszła do obozu II.

7 sierpnia z obozu IV wyruszyli w górę wariantem zbadanym przez Holnickiego Chrobak, Cichy, Pankiewicz i Wielicki. W przedłużeniu lin japońskich rozpięli kilka dalszych poręczówek — głównie w terenie skalnym o trudnościach II i III. Na wysokości 7950 m zostawili oni depozyt w postaci namiotu-płachty, 2 śpiworów i materaców oraz kompletu do gotowania. Wielicki podszedł aż do 8000 m. W czasie tego wypadu zaobserwowano, że grań północno-zachodnia ma na tej wysokości wyraźne ostrze i nieco wyżej łączy się z północnym filarem. Po tej akcji byliśmy już gotowi do podjęcia decydującego szturmu. Czasu mieliśmy jeszcze przynajmniej miesiąc, co pozwalało myśleć z optymizmem o szansach wyprawy.

Bezsukteczne próby

Pierwszym zespołem dobrze zaaklimatyzowanym i wypoczętym byli Karolczak i Wróż. Wspomagani przez Bebaka, Dudraka i Urbanika doszli oni 9 sierpnia z obozu I wprost do „trójki”. W nocy jednak nagle zepsuła się pogoda i cała piątka cofnęła się do obozu II, gdzie odpoczywali Chrobak, Cichy, Pankiewicz i Wielicki. Ponieważ załamanie pogody było głębokie, wszystkie zespoły powróciły 10 i 11 sierpnia do bazy.

13 sierpnia, przy nadal nienajlepszej pogodzie, Karolczak i Wróż w towarzystwie Grochowskiego i Pankiewicza ponowili próbę szturmu. W ciągu następnych dwóch dni pogoda uległa poprawie i 15 sierpnia nasza czwórka dotarła do obozu III. Jak się później okazało, w ciągu tych dwóch dni pogody — 14 i 15 sierpnia — Japończycy dwukrotnie osiągnęli wierzchołek K2, rozwią-

zując jeden z najgroźniejszych problemów gór wysokich, północny filar K2. Atak z nisko położonego obozu III (ok. 7450 m) był jednak ryzykowny i skończył się tragicznie: po biwaku w drodze zejściowej jeden ze zdobywców, mocno zdeteriorowany, spadł i poniósł śmierć.

Wróćmy jednak do naszej czwórki. Podczas gdy docierała ona 16 sierpnia do obozu IV, wokół szalała już wichura. W obozie IV alpinści spędzili 2 noce, a widząc, że wiatr nie słabnie, wycofali się do bazy. Tymczasem wichury nie ustawały, a komunikaty meteorologiczne dzień w dzień brzmiały jednakowo złowroźnie. Przyjęliśmy jednak taktykę permanentnego ruchu w górę, aby zwiększyć szansę „wstrzelenia się” w dzień bezwietrzny. Po 3 dniach spędzonych w obozie II, Holnicki i Lwow przemieśli się 19 sierpnia do „trójki”, by po 2 kolejnych nocach w szarpanym wiatrem namiocie wrócić 21 sierpnia do bazy. Z obozu II zeszli wraz z nimi Chrobak, Cichy i Wielicki. Czas zaczął naglić. Żywności i paliwa



K2 od północy — reprodukcja z „Iwa to Yuki” nr 92. Linia ciągła oznaczono drogą japońską filarem północnym (wejścia 14 i 15 sierpnia 1982), linią przerywaną — drogę polską. Linia prosta po lewej stronie pokazuje śmiertelną „lot” Yukihiro Yanagisawy — po ciężkim biwaku w trakcie schodzenia ze szczytu.

Fot. S. Takegawa

w bazie wystarczało na akcję do połowy września, jednak temperatury panujące w tym miesiącu w wyższych partiach Karakorum rzadko pozwalają na skuteczne operacje. Jako najpóźniejsze, kroniki notują wejście Amerykanów 6 i 7 września 1978 r. Jeszcze później — 13 września — walczyli na wysokości 8450 m Francuzi w 1979 roku, tu jednak szturm załamał się właśnie z powodu mrozu i wiatru.

Ostatni atak

W kolejnej akcji pokładaliśmy największe nadzieje. Miały to być dwa następujące po sobie szturm Wroźa i Karolczaka oraz Chrobaka, Cichego i Wielickiego, przy czym ci ostatni mieli uczestniczyć najpierw w założeniu obozu V. Oba zespoły wyruszyły z bazy jeszcze podczas złej pogody, w dniu 29 sierpnia. Tegoż dnia wyszli także Delgado i Mosqueda, mający wspomóc następny atak — swoich rodaków, Casanovy i Mirandy. Wichura i śnieżyca zatrzymały alpinistów na kilka dni w obozach I i II. Gdy roz pogodziło się nieco, akcję kontynuowano, tylko niedysponowani Mosqueda i Karolczak wrócili do bazy. Chrobak, Cichy, Wielicki i Wroź dotarli 3 września do zdewastowanego przez wiatry obozu IV i tu znowu musieli przeczekać dzień. 5 września natężenie wiatru nieco zmalało. Czwórka podeszła do końca poręczówek, rozpięta jeszcze kilkadziesiąt metrów lin i na zworniku grani i filara założyła obóz V (8100 m). Ściągnięci w dwuosobowym namiocie GAC spędzili noc, zużywając jedyną przyniesioną butlę tlenu. Rano Chrobak, u którego koledzy zauważyli objawy deterioracji, a także Wielicki, któremu zaczęły dolegać odmrożenia nóg, zdecydowali się zejść. Cichy i Wroź rozpoczęli dalszą wspinaczkę. Stromy teren skalny miał budowę płytową, trudności sięgały II stopnia. Wiatr jednak znów począł dawać się we znaki. Na wysokości ok. 8200 m Cichy spostrzegł odmrożenia na palcach ręki, również Wroź tracił już czucie. Dalsza wspinaczka groziła ciężkimi konsekwencjami, toteż jedynym wyjściem był odwrót.

Późniejsze próby dotarły najwyżej do „trójki”, a 8 września rozpoczęła się likwidacja obozów. Poza główną akcją uczestnicy przeprowadzili kilka rekonesansów wspinaczkowych. Po próbie Grochowskiego i Kurczaba wejścia na przełęcz Negrotto (6337 m), 25 sierpnia powiodła się ta sztuka Karolczakowi i Wroźowi (I wejście od zachodu). 5 września Kurczab i Urbanik wyruszyli z zamiarem zdobycia dziewicze-

go trabanta K2, Angelusa (6855 m). Po białaku na wysokości 6000 m dotarli oni pod spiętrzenie szczytowe (ok. 6550 m), skąd wycofali się z powodu późnej pory i braku haków. 12 września zlikwidowaliśmy bazę, 21 września dotarliśmy do Skardu, zaś w 4 dni później byliśmy z powrotem w Islamabadzie.

Tak więc kolejna polska wyprawa na drugi szczyt świata zakończyła się niepowodzeniem. Pechowy to był dla nas sezon w Karakorum. Te same wichury zmogły bowiem wyprawę kobiecą na Żebrze Abruzzów, a nawet doborową dwójkę Kukuczka — Kurtyka, która kilkakrotnie bez skutku atakowała południową ścianę K2.

Na zakończenie pragnęlibyśmy wyjaśnić sprawę „konfliktu granicznego”. Linie granic państwowych na najwyższych szczytach nie mogą być z natury rzeczy dokładnie określone, a tym bardziej — oznakowane. Tak się też ma sprawa z graniczną północno-zachodnią granicą K2. Na dużej przestrzeni tracą się ona w rozległej ścianie, by wyżej znów się wyodrębnić i połączyć na wysokości 8100 m z północnym filarem, który zawsze był uważany za integralnie chiński. Stwierdzenie tego faktu jest małym „geograficznym odkryciem” naszej wyprawy, gdy urwisty teren spychał nas w lewo, zdawaliśmy sobie sprawę, iż wkraczamy na terytorium, które prawdopodobnie powinno być przypisane Chinom. Przypomnę, że chodziło tu o paręset metrów powyżej 7000 m! Tego typu „zбочenia” są powszechnie tolerowane, np. zwyciężne drogi na Makalu i na Cho Oyu przechodzą wyraźnie na stronę chińską. I w naszym przypadku nie doszłoby do żadnej kolizji, gdyby nie obecność Japończyków. Zetknięcie się naszych dróg nastąpiło przed ich atakiem szczytowym. Zaniepokojeni, iż ktoś może ich wyprzedzić, spowodowali interwencję u władz chińskich, które wystosowały do odpowiednich placówek rządowych w Pakistanie i w Polsce noty protestacyjne. Na szczęście nie zrobiono z igły widel i sprawa „rozeszła się po kościach”.

Wiosna 1983 w Himalajach

Już w trakcie druku tego numeru dorzucamy garść informacji z zakończonego właśnie sezonu przedmonsunowego w Himalajach. Pogoda była ogólnie biorąc niekorzystna i sezon nie obfitował w sukcesy. 28 kwietnia na Jannu weszli Jean-Noel Roche, Roger Lucien Fillon (por. s. 35) i Luc Francois Jourjon. Powtórzyli oni „filar słowacki” (nieśluszenie pisząc o jego pierwszym przejściu) i w kopule szczytowej dokonali „wariant wprost”. W tym samym czasie szczyt Shisha Pangma osiągnęła „komercyjna” wyprawa z RFN: Gerhard Schmatz, Ulrich Schum i małżeństwo Josef i Marianne Walter (T. 1/82 s. 5). W wyniku choroby wysokościowej zmarł w trakcie tej wyprawy Fritz Luchsinger, pierwszy zdobywca Lhotse. W dniu 5 maja Cho Oyu zdobyli nową drogą (ścianą południowo-zachodnią) Michl Dacher, Hans Kammerländer i Reinhold Messner (jako swój 10. ośmiotysięcznik). Everest od strony chińskiej atakowali bez powodzenia Chilijczycy i Amerykanie. Więcej

szczęścia miała wyprawa amerykańska idąca zwyciężną drogą od strony Nepalu. 7 maja na szczycie stanęli David Breashears, Peter Jamieson, Larry Nielson, Gerard Roach i Szepa Ang Rita. Tydzień później wejście powtórzyli Gary Neptune, Jim States i Lhakpa Dorje. W dniu 18 maja na Dhaulagiri weszli Polacy, o czym piszemy w osobnej notatce. Tragedią zakończyła się wyprawa Jugosłowian na Manaslu — w lawinie lodowej zginął Ante Bučan i słynny Jernej Zaplotnik. W początku czerwca sezon zakończył Georg Bachler, wchodząc bez tlenu na Kangchendzöngę.

I wreszcie wiadomość „z ostatniej chwili”: 30 czerwca Anna Czerwińska i Krystyna Palmowska weszły na Broad Peak (8047 m) w Karakorum. Nie znamy szczegółów, ale już dziś powiedzieć można, że chodzi o czołowy pod względem stylu wyczyn samodzielnego himalaizmu żeńskiego.

Antoni Janik

Warszawska wyprawa „Makalu 1978”

W r. 1978 KW Warszawa zorganizował swą pierwszą wyprawę w Himalaje — na piąty szczyt świata, Makalu (8481 m.) W planie było poprowadzenie nowej drogi, od przełęczy Makalu La (7410 m), ściśle granią północno-zachodnią. Zespół alpinistów miał samodzielnie zaatakować szczyt drogą francuską. W skład wyprawy weszli: Halina Krüger-Syrokomska, Anna Okopińska, Leszek Cichy, Tomasz Czarski, Mirosław Dąbrowski, Jarosław Dobas, Marek Grochowski (zastępca kierownika do spraw sportowych), Jacek Gronczewski (lekarz), Jan Holnicki-Szulc, Wojciech Jedliński (ŁKW, kierowca), Janusz Kurczab (kierownik), Włodzimierz Łapiński (kierowca i fotografik), Andrzej Marczak, Andrzej Młynarczyk, Janusz Skrzyszowski, Tadeusz Solicki, Jacek Tafel, Jan Wolf i Paweł Zawidzki. W Nepalu dołączył się na własny koszt Marek Głogoczowski.

8-tonowy bagaż wyprawy przetransportowali Jedliński, Łapiński i Czarski samochodem ciężarowym PZA, Jelcz 316. Wyjechał on z Warszawy 5 lipca 1978 r. W dniu 17 sierpnia samochód został zatrzymany na cały tydzień na granicy pakistańsko-indyjskiej, z powodu nieformalności w „carnet de passage”. 6 sierpnia na przedmieściach Delhi nastąpiła poważna awaria: pękł wał korbowy w silniku. Po wielu zabiegach udało nam się sprowadzić nowy wał z kraju, zatrzymało nas to jednak w Delhi aż do 15 września. 18 września — a więc z miesięcznym opóźnieniem — rozpoczął się przerzut bagażu samolotem z Biratnagaru do Tumlingtaru. Takie rozwiązanie pozwoliło skrócić karawanę o 6 dni. Karawana 170 tragarzy wyruszyła 20 i 21 września. Wyodrębniła się z niej grupa rekonesansowa (Krüger, Okopińska, Dobas, Holnicki, Zawidzki i 13 tragarzy), która 27 września założyła bazę w dolinie Barun na wysokości 4850 m, w miejscu używanym od 24 lat przez wszystkie wyprawy. Na bocznym lodowcu Chago założono następnego dnia obóz I (5300 m), a na wysokości 5600 i 5800 m dwa prowizoryczne obozy-sклады. Główna karawana dotarła do bazy 30 września. W tym czasie skończył się z opóźnieniem monsun i zapanowała ładna pogoda, trwająca zwykle do początku listopada.

3 października stanął obóz II (6200 m), później przeniesiony o 100 m niżej. W nocy z 3 na 4 października zaskoczył nas niezwykle silny opad śniegu, który sparaliżował dalszą akcję. W bazie było wówczas 10 osób, inne cofnęły się z obozu II do I. 5 października zachorował tu ciężko Jan Wolf — lekarz wyprawy francuskiej na Makalu II stwierdził niebezpieczny dla życia wysokościowy obrzęk płuc. Z wielkim trudem zwie-

ziono chorego na prowizorycznych saniach 100 m niżej. 6 października połączonymi siłami francuskimi i polskimi sprowadzono go lodowcem Barun.

Od początku śnieżycy grupa nie mogła nawiązać łączności z bazą. Udało się to 6 października, a pierwszą wiadomością był komunikat o śmierci w lawinie Andrzeja Młynarczyka. Wypadek miał przebieg następujący: Śnieg padał w bazie stale przez 63 godziny, dając opad ok. 1,5 m. W nocy z 5 na 6 sięgał po kalenice namiotów, które były co 2 godziny odkopywane. O godz. 2 w nocy J. Gronczewski stwierdził, że wszystkie namioty stoją. Około godz. 3.30 wstał J. Tafel i zauważył, że namiot A. Młynarczyka zasypała lawina, a właściwie bezgłówny osuw mas śnieżnych, którego czoło oparło się o tropik namiotu Gronczewskiego i Tafla. W ciągu ok. 30 minut wydobyto Młynarczyka, który leżał twarzą do materaca, w pozycji sugerującej, że przysypany został podczas snu. Pod kierownictwem lekarza J. Gronczewskiego prowadzono przez ok. 2 godziny czynności reanimacyjne, niestety bez rezultatu. Zmarły został pochowany 8 października nieopodal bazy, pod głazem, na którym napisy upamiętniały śmierć alpinistów czechosłowackich: Jana Kounického (1973) i Karela Schuberta (1976).

Działalność wznowiono 10 października, transportując w głębokim śniegu zaopatrzenie z obozu I do II, który rozbudowany został w bazę wysuniętą. Droga do niego z bazy była długa, lecz zupełnie łatwa. Pierwsze trudności — stromy kuluar lodowy — napotkano na wysokości 6800 m. Po rozpoczęciu ok. 200 m lin poręczowych, w dniu 17 października Okopińska, Cichy, Czarski, Grochowski, Holnicki i Skrzyszowski założyli ostatecznie obóz III (7000 m). Rozpoczął się teraz szturm na Makalu La (7410 m) — na stromej ścianie lodowo-śnieżnej trzeba było rozpiąć kilkadziesiąt metrów lin. 21 października przełęcz osiągnęli Okopińska, Cichy, Dąbrowski, Grochowski, Gronczewski, Holnicki, Marczak i Zawidzki. Mroźny wiatr uniemożliwił im jednak rozbicie obozu IV i zmusił grupę do wycofania się.

Mimo wzmaganie się wichur, podjęto jeszcze jedną próbę atakowania szczytu. 26 października na Makalu La weszli Cichy, Czarski, Głogoczowski, Grochowski, Gronczewski, Holnicki, Marczak, Tafel i Zawidzki. Walcząc z wichurą, ustawili w ciągu paru godzin 3 namioty, w których spędzili ciężką noc — w wietrze i mrozie ok. —30°. Stało się jasne, że nadspodziewanie wcześniej nadeszły późnojesienne huragany, wykluczające działalność. 27 października rozpoczęto wycofywanie się do bazy. W dniu 9 listopada

ruszyła w dół karawana powrotna. Uczestnicy wrócili do kraju na przełomie listopada i grudnia, natomiast przejazd „Jelcza”, ze względu na wydarzenia w Iranie, przeciągnął się do połowy lutego 1979 r.

Wyprawa nie osiągnęła zamierzonego celu. Wobec prawie miesięcznego opóźnienia, realizacja maksymalnych zamierzeń nie była realna, ale istniała możliwość osiągnięcia szczytu drogą Francuzów. Niestety, plan ten pokrzyżowała niepogoda. Wyprawa osiągnęła wysokość 7410 m, gdzie dotarło 10 uczestników. Wypadek Andrzeja Młynarczyka miał charakter obiektywny, niezawiniony. Nie było żadnych sygnałów, że używane od lat

miejsce bazy może być niebezpieczne. Reasumując, przyczyny niepowodzenia na Makalu należy widzieć w: 1) przestoju samochodu na granicy Indii i jego awarii w Delhi; 2) wielkiej powodzi w Indiach, która uniemożliwiła przerzut bagażu miejscową ciężarówką; 3) katastrofalnych opadach śniegu w początku października i w ich konsekwencji tragicznej śmierci A. Młynarczyka; 4) we wcześniejszym o ok. 10 dni nadejściu wiatrów przedzimowych. Jak to już dzisiaj wiemy, upatrzonej przez nas problem dziewiczej grani północno-zachodniej nie wymknął się Polakom: w 3 lata później rozwiązał go szczęśliwie Jerzy Kukuczka.



WOJCIECH KURTYKA

Makalu 1981 — nową drogą

W roku 1981 w trakcie dwóch kolejnych sezonów atakowałem ten sam cel: zachodnią ścianę piątego szczytu świata, Makalu (8481 m). Zespół wiosenny tworzyli Kunda Dixit (34, Nepal), Cornelius Higgins (39, Szkocja), lekarz Piotr Kintopf (39, Polska), Wojciech Kurtyka (34, Polska), Alex Mac Intyre (27, Anglia) i Padam Ghaley Gurung (31, Nepal). Zła pogoda utrudniała aklimatyzację i całe przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Jedynym osiągnięciem była wspinaczka Gurunga na Makalu II (7640 m), przypuszczalnie pierwsze solowe wejście tej klasy dokonane przez Nepalczyka.

W ścianie zachodniej

Jesienią nasz zespół był mniejszy: Jerzy Kukuczka (33, Polska), Alex Mac Intyre i Wojciech Kurtyka, ponownie jako kierownik. Bazę założyliśmy 4 września na wysokości 5400. Przez tydzień pogoda nam nie sprzyjała, 11 września rozjaśniło się jednak i odtąd było już niemal bez przerwy ładnie. Aklimatyzacja tym razem przebiegała bez zakłóceń. W 13 dni od założenia bazy byliśmy na Makalu La (7400 m), a w 20 dni na 8000 m. Kiedy podchodziliśmy drogą Francuzów w stronę szczytu Makalu, dosłownie spod nóg Kukuczki oberwała się wielka lawina, która zesłała 1000 m w dół i rozplynęła się na śnieżnych polach Tybetu. Przerażeni zastygliśmy w bezruchu i od razu zmieniliśmy kierunek podejścia, zwracając się ku

stromej grani północnej, do tej pory dziewiczej. Osiągnęliśmy na niej wysokość 8000 m i po cudownym biwaku ponad morzem chmur zawróciliśmy, gdyż warunki śnieżne wyżej były niebezpieczne.

Uznając aklimatyzację za wystarczającą, odpoczęliśmy parę dni w bazie i przygotowaliśmy się do szturm na zachodnią ścianę. Plan przewidywał wejście stylem alpejskim, bez jakichkolwiek wstępnych robót. Na 3 osoby zabraliśmy 9 kg żywności, 80 m liny, 13 haków skalnych, 4 śruby lodowe, sprzęt do gotowania. Dla rozwiązania problemu noclegów, oprócz ekwipunku puchowego mieliśmy 3-osobową płachtę do biwakowania na półkach wyrąbanych w lodzie, specjalnie uszytą przez firmę Karrimor. Przewidywaliśmy szturm 6-dniowy oraz 1 dzień na zejście, uwzględniając z góry 1–2 dni „głodowe” w końcowym etapie.

Po noclegu u stóp ściany (6000 m), 5 października ruszyliśmy w górę, biwakując kolejno na wysokości 6700, 7300, 7600 i 7800 m. Szliśmy nie związani, pola lodowe miały spaść 50°, miejscami 60°. Liny użyliśmy tylko na 4 wyciągach skalno-lodowych z 5-metrowym pionowym progiem lodowym na wysokości 7400 m. Przez cały czas było pogodnie, choć bardzo zimno — w najwyższym osiągniętym przez nas punkcie temperatura spadała do ok. –30°. Kluczem zachodniej ściany jest pionowe, a częściowo nawet przewieszane urwisko skalne na wysokości 7800–8200 m. W środkowej partii liczy ono ok. 550 m wysokości — my skierowaliśmy się w jego prawą depresję, mając nadzieję przebić się stamtąd do górnej części filara francuskiego. 8 października dotarliśmy do stóp skał. Alex zabrał się do nich, jednakże trudności — klasyczne i hakowe — przerosły nasze oczekiwania. Wspinając się parę godzin po południu, a następnie od rana w dniu 9 października, posunął się w górę zaledwie 40 m. W miarę upływu czasu coraz to czę-

ściej spoglądaliśmy nie w górę, lecz w dół, łaskując szanse czekającego nas dwukilometrowego zejścia lodowymi polami. Ściana skalna nad nami wymagałaby 3—4 dni wyczerpującej wspinaczki. Na razie byliśmy w formie, ale co miało przynieść jutro? Gdy Alex z determinacją forsował załozzone przewieszki, pękł jeden z jego raków, co zgodnie uznaliśmy za sygnał do honorowego odwrotu.

W południe zaczęliśmy zejście, zajęło nam ono półtora dnia, a były to najwspanialsze godziny w całej tej naszej przygodzie. Schodziliśmy nie związani, tylko 4 wyciągi pokonaliśmy zjazdami. Od czasu do czasu wzrok nasz ze smutkiem kierował się ku górze — dla Alexa i dla mnie odwrot oznaczał załamanie się dwóch sezonów. Teraz zaczynały się jesienne wichury, huczało nad górami, a zza grani wystrzelały białe chorągwie śnieżne.

Tak, byłem na szczycie

Moje stopy nieco opuchły i nie czułem się najlepiej. Alex w bazie zebrał się szybko i pognął w dół do Katmandu, czekała go bowiem jakaś podróż do Ameryki. My obaj z Jurkiem nadal wpatrywaliśmy się w ścianę. Ja już się z nią co prawda pożegnałem, choć w myślach ciągle jeszcze byłem wśród jej lśniących pól lodowych i złotych progów skalnych. Ale Jurek nie ogłosił jeszcze pożegnania. Był spokojny, nie trapił się nawałnicą, szarpnięciem w nocy namioty, ani śpiwem wichru w graniach. Czasem wydawało się, że działa on przeciwko logice, faktem jest jednak, że rządzi nim jakiś wyższy wewnętrzny imperatyw, prowadzący go zawsze do szczęśliwych rozwiązań. Myśl o wyjściu w góry była niedorzeczna, mimo to spakował sprzęt puchowy, 2 kg żywności, maszynkę, 3 kartusze butanu, 2 haki skalne, 1 śrubę lodową, płachtę i 9 m liny.

12 października o godzinie 1 po południu, kiedy Alex niknął już w dole wśród moren lodowca Barun, Jurek ruszył w górę. O północy był na wysokości 7000 m, 1600 m wyżej niż baza. Jako osłony przed mroźnym wiatrem użył resztek zniszczonego namiotu austriackiego. Gdy się biedził nad ugotowaniem kubka herbaty, nasza go myśl o odwrocie. Ale następnego dnia wiatr ucichł, a Jurek odpoczywał do godziny 14. Po południu — już wolny od wahań — wędrował dalej w górę ku przełęczy Makalu La. Osiągnął ją o zmierzchu i odszukał mały namiot „Salewa”, schowany miesiąc wcze-

ściej, podczas naszego wypadu aklimatyzacyjnego, w innym namiocie, teraz załamanym przez śniegi. Wyporządził go i zanoctwał w nim.

14 października był kolejnym dniem próby. Szczyt pogrążył się znowu w mgłach i wichurze, a mnie trapiły zwiady Jurka przebijającego się przez burzę gdzieś w śniegach za granią. Ale on, pomny przygody z lawiną, bał się już drogi francuskiej i od razu wybrał północną grań. Walcząc z wiatrem dotarł do miejsca naszego biwakowania na wysokości 8000 m, gdzie rozbił zabrany z przełęczy namiot. Tu wątpliwości co do sensu wspinaczki opadły go po raz drugi. Biwak był ciężki, lecz kolejny dzień wstał słoneczny i — cichy! O godzinie 8 Jurek wyruszył — nową drogą — w stronę szczytu. Dwustumetrowy czarny uskok obszedł po stronie wschodniej i szedł dalej miejscami wcale trudną śnieżno-skalną granią. Na wysokości 8300 m drogę zamknęła mu ścianka skalna o trudnościach IV. Zrobił tu użętek z zabranych haków skalnych i swej 9-metrowej liny. Akurat tyle było potrzeba do pokonania przeszkody. Idąc, cały czas miał wrażenie, że nie jest na grani sam, że ktoś mu towarzyszy. O 16.45 osiągnął ostry wierzchołek Makalu — swój trzeci ośmiotysięcznik. Znalazł tu 2 francuskie haki i zostawił przyniesioną zabawkę dziecięcą w kształcie biedronki.* Widok był wspaniały — góry i góry aż po krańce horyzontu. Ale czas nagił. Po zrobieniu zdjęć, szybko ruszył w dół, uciekając przed nadchodzącym zmierzchem. O godzinie 21 był z powrotem na miejscu biwaku.

Następnego dnia witałem go na piargach powyżej bazy. Jurek był zmęczony, jego twarz szara, a sylwetka jakby przygarbiona i zmalała. Na jego twarzy nie widziałem ani radości, ani też smutku. Wydał mi się po prostu spokojny. Była jakaś harmonia między tym steranym walką z wichrem i wysokością człowiekiem, a ogromnym światem skał dookoła. Powiedział tylko: „Tak, byłem na szczycie.”

(Sprawozdanie jest redakcyjnym przekładem i skrótem większego artykułu, złożonego przez autora w języku angielskim).

* Zabawkę tę znalazł 20 maja 1982 r. Koreańczyk Heo Young-Ho, rozpoznając w niej... żółwia. Czytamy w „Mountain” nr 86: „Ten drewniany żółwik jest zapewne tą zabawką, która w październiku zeszłego roku pozostawił Jerzy Kukuczka. Jeśli tak, potwierdza to jego samotny sukces, a zarazem sukces zespołu koreańskiego.” (Red.)

W dniu 4 lutego 1983 r. zmarł w Warszawie, po ciężkiej chorobie, w wieku 80 lat

Dr JULIAN GODEWSKI

członek honorowy Klubu Wysokogórskiego i Polskiego Związku Alpinizmu, człowiek sercem oddany sprawie polskiej ekspansji wyprawowej na wszystkie kontynenty. Jako protektor i mecenas alpinizmu, stał się jednym z głównych współtwórców naszych sukcesów w górach świata. Wnosząc polskie proporce na wysokie szczyty będziemy z czcią i wdzięcznością wspominali Jego imię.

POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU

Zachodnia ściana Makalu 1982

Ściana ta liczy od podstawy do wierzchołka 2500 m wysokości. W r. 1981 atakowali ją dwukrotnie Wojciech Kurtyka i Alexander MacIntyre (Anglia) — w sezonie przedmonsunowym wraz z Conem Higginsem z Anglii, po monsunie — z Jerzym Kukuczka. Oba te ataki, prowadzone bardziej prawą stroną urwiska, utknęły na wysokości 7800 m — na początku głównej skalnej bariery. Nasz zespół zdecydował się na przejście ściany lewym żebrem, wyprowadzającym pod uskok północnej grani. Wyodrębnia się ono od wysokości 6300 m. Stromizna dolnego lodowego odcinka wynosi 40—50°, powyżej 6600 m wzrasta jednak znacznie (miejscami do 90°), a teren przybiera charakter płytowy. Na wysokości 7400 m żebro wyprowadza na 200-metrowe pole śnieżno-lodowe, poprzecinane barierami skalnymi. Dochodzi ono do drugiego, znacznie obszerniejszego pola, mającego postać delty (tak je też nazwaliśmy), opadającego pod kątem ok. 50° i również poprzeczanego pasami skał. Na wysokości 8000 m sięga ono do północnej grani. Trudności odcinków skalnych między obozem III a „Delta” oceniliśmy na V+ A0, zaś pomiędzy obozami drugim i trzecim — na IV. Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze pionowe odcinki lodowe. Cała droga, aż do grani, została zaporcęzowana (3500 m lin). Była ona względnie bezpieczna, przynajmniej pod względem spadających kamieni i lawin.

Ekipa i podróz

Wyprawę zorganizował KW Gliwice, zapraszając do udziału uczestników z bratnich klubów z Katowic i Krakowa, a przede wszystkim z Club Alpino Paulista z Brazylii. W skład 20-osobowej ekipy weszli: Adam Bilczewski (kierownik), Janusz Baranek, Andrzej Czok, Michał Gliški (lekarz), Zygmunt Andrzej Heinrich, Tadeusz Kozubek (zastępca kierownika), Mirosław Krawczyk, Julian Kubowicz (kierowca), Mirosław Kuraś, Andrzej Machnik, Ignacy Nendza, Aleksander Pańków, Janusz Skorek, Jerzy Smela (drugi kierowca), Wacław Sonelski, Tadeusz Szulc i Piotr Wójtek. Stronę brazylijską reprezentowali: Michał Bogdanowicz, Max Haim i Alexander Bruno Ventre.

Bagaż wyprawy (8 ton) dotarł wraz z 10 uczestnikami samochodem ciężarowym STAR 266 z przyczepą przez Austrię, Jugosławię, Bułgarię, Turcję, Iran, Pakistan i Indie. Pozostali uczestnicy przybyli do Delhi drogą lotniczą. Karawanę prowadził doskonały sirdar Ang Kami z ramienia cenionej przez nas agencji Sherpa Cooperative, oficerem łącznikowym był R.B. Bhujel. Karawana liczyła 200 tragarzy i trwała od 11 do 29 sierpnia.

Bazę urządziliśmy 30 sierpnia na lewej morenie lodowca Barun, na wysokości 5400 m. Obóz I stanął 2 września, powyżej zerwy lodowej, na wysokości 6000 m. Rozbiliśmy w nim 6 namiotów — 4 mieszkalne i 2 magazynowe. Obóz II założono 11 września na wysokości 6600 m. Stanowiły go 2 namioty zamocowane na półkach wybitych w lodzie, zabezpieczone płachtami przeciwlawinowymi. Spore kłopoty wynikły z ułokowaniem obozu III, założonego 19 września na wysokości 7100 m. Początkowo postawiono 1 namiot na wierzchołku ściętego konia śnieżnego, potem Andrzej Czok wyrzył 50 m niżej kawernerę w nawisie i tam stanął drugi namiot. Gdy przyszło do założenia obozu IV, wystawiony na wiatr namiot z konia śnieżnego zdjęto i wyniesiono do góry.

Iść dalej czy zawrócić?

W zasadzie wszystkie trudności pokonywali Czok i Skorek, jednakże trudny odcinek u wejścia do „Leja Delty” (tak nazywaliśmy niższe pole) poręczowali 26 września Mirosław Kuraś i Tadeusz Szulc. Pod wieczór, gdy byli na wysokości 7400 m, wskutek ostrej niewydolności krążeniowo-oddechowej zmarł nagle Tadeusz Szulc.

Rozstałem się z tą dwójką poprzedniego wieczoru w obozie III. W dniu wypadku obserwowałem akcję przez lornetkę ze swojego namiotu w bazie. Robota szła im dość sprawnie. Około trzeciej dostrzegłem punkcik posuwający się po białym polu „Leja Delty”. A więc pokonali ostatnie 50 metrów bariery i ściana była otwarta! Teraz wystarczy przejść niewielkie pasy skał „Delty” i grań... Punkcik osiągnął pełną długość liny i zaczął się obniżać. „Dobrze — pomyślałem — jest wieczór i będą zjeżdżać do „trójki”. Nikt już nie zauważył, że postać podchodzi ponownie w górę, a potem tego, że do obozu III zjeżdża tylko jeden człowiek. Wieczorem poraził nas radiotelefon Mirka Kurasia:

— Adam, wróciłem sam. Tadzio nie żyje. Został tuż pod polem „Leja”. Musiał umrzeć nagle. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu przez 30 do 40 minut — czas na rozpięcie poręczówki na polu „Leja”. Tadek czuł się dobrze i popędzał mnie. Po przejściu trudnego zacięcia wyprowadzającego na łatwy już teren, wbiłem hak i umocowałem jego linę. Powiedziałem, że ma poręczówkę i może iść, a ja już bez asekuracji założyłem nową linę na polu śnieżnym. Kiedy zjechałem na dół, zauważyłem go 5—8 m poniżej pola. Wydawało mi się, że odpoczywa, tymczasem on już nie żył. Nie reagował oczywiście na moje wołania. Nie mogłem obciążyć liny, na której wisiał,



Masyw Makalu (8481 m) od zachodu: 1. droga główna (Francuzi 1955); 2. wariant Kukuczki (1981); 3. wariant Baxtera (1980); 4. wariant Nottarisa (1982); 5. droga polska (1982) — granią drogą Kukuczki (1981); 6. próba zespołu Kurtyki (1981); 7. filar Francuzów (1941). Zob. też zdjęcie na tylnej okładce.

Fot. Janusz Skorek

a moja nowo założona poręczówka kończyła się tutaj. Musiałem wyjść z powrotem na górę, odczepić linę i wrócić na dół. Wbiłem hak i założyłem nowy zjazd. Dotarłem do Tadzia, próbowałem reanimacji. Na wszystko było o wiele za późno — ciało już sztywniało. Jestem ratownikiem górskim i nie mogłem tu popełnić żadnej pomyłki. Do „trójki” dotarłem po ciemku i zaraz połączyłem się z wami...

Wyprawa przeżywała teraz ciężkie godziny. Nagły zgon towarzysza, nawet nie wypadek, był szokiem dla wszystkich. Siedzieliśmy w milczeniu, każdy z osobna analizował sytuację. Potem zaczęły się dyskusje. Wynikało z nich, że wyprawa winna mimo wszystko kontynuować akcję. Należało zdobyć tę górę, także dlatego, że Tazio zapłacił za nią taką cenę. W kilka dni później podszedłem wraz z Czokiem, Kurasiem i Sonelskim do zwłok, które zabezpieczyliśmy w miejscu zgonu.

Samotny atak Andrzeja

W dniu 3 października założyliśmy 160 m dalszych lin poręczowych na polu „Leja Deltę”. Następnego dnia Kuraś, Sonelski i ja wróciliśmy do bazy, zaś Czok zatrzymał się w obozie I. Po przenocowaniu — trzeba podziwiać jego niesamowitą wręcz kondycję i zdolność aklimatyzowania się — wrócił jednym rzutem do obozu III, gdzie czekał na niego Skorek. 6 października było widać, jak posuwali się po „Delcie”, pozostawiając za sobą nitkę poręczówek. Nie dobili jednak do grani, lecz zjechali na nocleg do „trójki”, by pracą kontynuować następnego dnia. Tym razem wspomagał ich Andrzej Machnik.

Niósł śpiwór i butlę tlenu, tamci namiot, karimatę, paliwo, żywność, swoje śpiwory i liny do poręczowania. Na wysokości 8000 m, na spłaszczeniu grani północnej, stanął namiot tworzący obóz IV.

Zespół dysponował tylko 1 butlą tlenu, którą w ciągu nocy wykorzystali Skorek i Czok, jako dwójka mająca przeprowadzić atak. Rano wyruszyli wszyscy trzej w kierunku szczytu. Machnik wycofał się po jakimś czasie, Skorek i Czok dotarli w pobliże wierzchołka — było do niego około godziny drogi — jednakże huraganowy wiatr zmusił ich do odwrotu. Skorek stwierdził u siebie odmrożenia stóp. Całą trójką przenocowali raz jeszcze w obozie IV, po czym Skorek i Machnik zjechali w dół, natomiast Czok pozostał na górze, chcąc samotnie zmierzyć się ze szczytem. Uzyskał na to moją zgodę. Znałem dobrze i jego możliwości, i jego rozsądek. W czasie łączności radiotelefonicznej powiedziałem mniej więcej tak: „Andrzeju, jesteś doświadczonym himalaistą, mogę ci więc pozostawić decyzję. Wierzę, że nie zrobisz błędu i jeżeli będzie trzeba, wycofasz się odpowiednio wcześniej.”

Nie wszyscy koledzy aprobowali moje stanowisko, dzień 10 października pozostanie mi więc w pamięci na zawsze. Przecież na dobrą sprawę wziąłem odpowiedzialność całkowicie na siebie. Czy nie popełniłem omyłki, dopuszczając do samotnego ataku? Byłem przekonany, a raczej przekonywałem sam siebie, że nie, że przeprowadziłem prawidłową kalkulację. Ale czy to, co nastąpi w ciągu najbliższych godzin, potwierdzi moje przekonanie? O godzinie 12.45 odezwał się radiotelefon bazowy: „Dzieńdoberek ze szczytu! Mówi Andrzej Czok po przejściu zach-

dniej ściany drogą imienia Tadeusza Szulca. Czuję się bardzo dobrze, chociaż tu okropnie wieje. Porobię zdjęcia, zamocuję flagi pod szczytem i schodzę...”

Po twarzy spłynęły mi łzy. Drugi raz w trakcie wyprawy — tym razem jednak łyż radości. Co chwilę ktoś klepał mnie po plecach, ktoś ścisnął. Radość była powszechna.

O godzinie 16 Andrzej był już w obozie IV. Chciał w nim spędzić jeszcze jedną noc, czwartą z kolei. Bałem się, że jego organizm może tego nie wytrzymać, tym bardziej, że nie miał już paliwa. Poprosiłem więc, żeby zostawił wszystko i zjeżdżał do „trójki”. W 20 minut później zobaczyliśmy go na poręczówkach „Dety”, następnego dnia był w „jedynce”, a 12 października — z powrotem w bazie. Okazało się, że z „czwórki” zabrał maszynkę, radiotelefon i śpiwory — szkoda mu było je zostawić.

Potem były jeszcze — jak zwykle — dyskusje, czy zwinąć wyprawę, czy próbować dalszych wejść, nie chciałem już jednak pomnażać ryzyka. W akcji likwidacyjnej zniesiono kompletnie obozy III, II i I, natomiast cały ciąg lin poręczowych pozostał w ścianie. 17 października rozpoczęła się karawana powrotna, zakończona po 12 dniach.

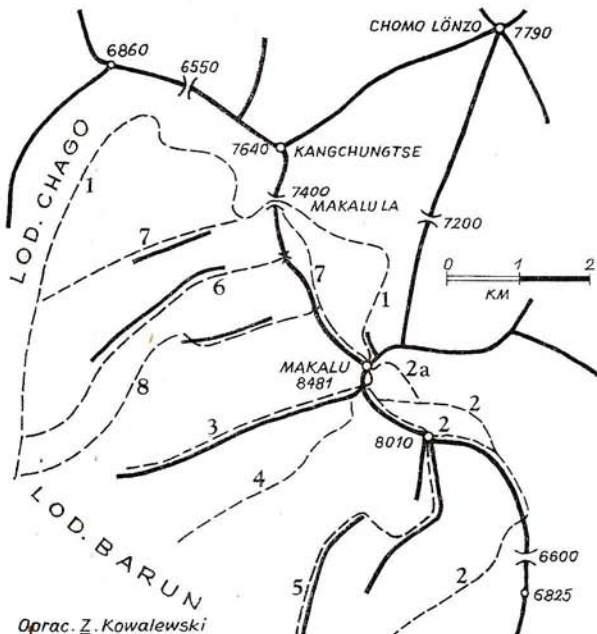
Na koniec parę zdań podsumowania. Pokonaliśmy jedno z najtrudniejszych urwisk himalajskich, kolejną „barierę niemożliwo-

ści”. Zespół wywalczył wejście na szczyt zakładając 4 obozy, mocując 3500 m lin poręczowych i zużywając w trakcie snu 1 (!) butlę tlenu. Wszystkie ataki prowadzono już bez tlenu, a nie zapominajmy przy tym, że Makalu (8481 m) należy do piątki „wysokich” ośmiotysięczników. Wyprawa nie korzystała z pomocy Sierpów w akcjach powyżej bazy, jedynie sirdar Ang Kami docierał z ładunkami do obozu I. Wyczyn Andrzeja Czoka, po wejściu bez tlenu na Lhotse w r. 1979 i na Everest w r. 1980 (bez tlenu od wierzchołka południowego), stawia go w rzędzie dziesięciu najlepszych himalaistów świata. Drogę naszą pisma alpinistyczne — np. „Mountain” 89 — uznały za największe osiągnięcie sezonu jesiennego 1982, a nie był to sezon słaby ani nawet przeciętny. Czy mimo to możemy z satysfakcją powiedzieć, że pokonaliśmy Górę? Niestety nie — to Góra pokonała nas. Ciało Przyjaciela, które pozostało w jej skałach, kładzie się cieniem na sukcesie, chociaż jest to przecież i jego sukces.

Summary of statistics: Himalaya, Nepal. Makalu (8481 m), first ascent of the west face (via the left buttress and north ridge). Polish-Brazilian (17 + 3) expedition, leader Adam Bilczewski. Base Camp 5400 m, camps: I (6000 m), II (6600 m), III (7100 m), IV (8000 m). On September 26 at 7400 m died Tadeusz Szulc. Summit reached on October 10, 1982 by Andrzej Czok (alone and oxygenless).

Drogi na Makalu

Makalu (8481 m) ma dwie wybitne granie: północno-zachodnią i południowo-wschodnią, w której znajduje się mało wybitny wierzchołek o wysokości 8010 m. W kierunku wschodnim biegnie wybitna grań, od której odchodzi słabo zarysowany



Oprac. Z. Kowalewski

grzbiet do Chomo Lönzo (7790 m). Słynny zachodni filar rozdziela dwie potężne ściany: południową i zachodnią. Jako pierwsi ludzie stanęli na szczycie Makalu w dniu 15 maja 1955 r. Jean Couzy i Lionel Terray (droga 1). Wyprawą francuską kierował Jean Franco, a była to jedna z najbardziej udanych ekspedycji himalajskich: w 3 wejściach szczyt osiągnęło 9 osób. W r. 1970 Japończycy Hajime Tanaka i Yuichi Ozaki pokonali południowo-wschodnią grań, 23 maja osiągając szczyt (droga nr 2). Wcześniej nieco, bo 12 maja, dokonali oni również I wejścia na wierzchołek 8010 m. W następnym roku silna wyprawa francuska sforsowała zachodni filar (droga 3), a szczęśliwymi zdobywcami szczytu byli 23 maja Bernard Mellet i Yannick Seigneur. Czwartą drogę — ścianą południową — poprowadzili Jugosłowianie w r. 1975 (T. 4/76 s. 137). Południowy filar, wyprowadzający na wierzchołek 8010 m, pokonali Czechosłowacy w r. 1976 (droga 5, T. 3/76 s. 132). Roger Baxter-Jones dotarł w r. 1980 do północno-zachodniej grani zębem zachodnim (nr 6), szczytu jednak nie osiągnął (T. 2/81 s. 64). Jerzy Kukuczka wszedł samotnie na szczyt 15 października 1981, wytyczając siódmą drogę. W dniu 20 maja 1982 wierzchołek Makalu osiągnęła wyprawa południowokoreańska, która poprowadziła nowy wariant do drogi japońskiej (nr 2a). Jesienią tegoż roku zachodnią ścianę pokonała wyprawa kierowana przez A. Bilczewskiego (droga nr 8).

Do końca 1982 r. na szczyt weszło 40 osób w 20 wejściach. Sukcesami zakończyło się 13 z 31 ekspedycji. Śmierć poniosły 4 osoby — dwaj Czechosłowacy i dwaj Polacy. Najwięcej alpinistów wprowadził na szczyt Francuzi (10), Jugosłowianie (7) i Japończycy (5). Na zdobywców czeka jeszcze skrajnie trudny środek zachodniej ściany, ale jest to chyba najpoważniejszy problem sportowy w górach najwyższych. Nie miała też dotąd przejścia długa grań wschodnia.

Zbigniew Kowalewski

Zgoniło nas...

Górne pole „Deltę” osiągam późnym popołudniem. Kolorki nieba zaczynają blednąć, hula zimny wiatr. Andrzej z Januszem w górze dobierają się do uskoku, który oddziela „Deltę” od grani. Z tej odległości nie widzę, czy jeszcze poręczują, czy też już zabrakło im lin, co jest zresztą bardzo prawdopodobne. Gdyby tak się stało, byłby niezły bigos. Ruszam dalej w górę, widzę jednak coraz wyraźniej, że wyścigu ze zmierzchem nie wygram. Jest już 7 października, słońce zachodzi wcześniej. Około piątej, w ostatnim blasku umykającego dnia, zatrzymuję się, żeby poczynić przygotowania do nocnego boju. Opatulałem się szczerlnie we wszystko, co mam, czołówkę umocowuję tak, żeby nie przerywała światła, co bywa plagą w czasie nocnej wspinaczki. Niestety, nie mam kurtki puchowej, gdyż nie było już jak jej zabrać. Gdy kończę ubieranie, panuje niemiły półmrok. Mroźny wicher wdziera się we wszystkie zakamarki. Zapalam latarkę — jasny strumień światła poprawia samopoczucie. Energicznie ruszam do góry i dość szybko docieram pod uskoki. Poręczówki lecą w ciemność niemiłym ukosem po zalodzonej trójkowo-czwórkowej skale. Nie ma haków kierunkowych, a omskniecie się grozi bliżej nieokreślonym wahadłem. Sprzęgam się i dzięki pełnej koncentracji szybko i bez błędów pokonuję uskoki. Teraz śnieżną grańką do góry i poziomy eksponowany gzyms w lewo. Na szczęście wiodą mnie cały czas poręczówki. Kończą się wreszcie i w niecałą godzinę od zapadnięcia ciemności staję na grani. Jeszcze kilka zawijasów po śladach i światło czołówki wyławia z mroku namiot.

— O, jesteś! — wita mnie Andrzej.

Ano jestem. Gramolę się do ciasnego wnętrza. Chłopcy zgubili menażkę i zamiast niej na maszynce stoi kartusz po butanie. Otrzymuję pierwszą przygotowaną w nim herbatę. Po jej wypiciu pozostaje mi w gardle ogień. Od tego momentu potężna zgaga gnębić mnie będzie przez kilka dni, wzmagając się po każdym posiłku i sięgając aż do żołądka. Przekazujemy przez radiotelefon wiadomość o moim dojeździe. Pogrzebowy nastrój bazy, która jeszcze przed minutą przekonana była, że bez trupa (mojego) się nie obejdzie, zmienia się nagle na szampański. Sam szef składa gratulacje.

Do snu układamy się na waleta. Andrzej z Januszem podłączają się do przytarganej przeze mnie butli z tlenem. Ja śpię bez tlenu, ale ustalamy, że jeśli rano będę się czuł dobrze, spróbuję równie wejść na szczyt.

Noc mija spokojnie. Nad ranem budzi mnie Andrzej: „Pociągnij sobie trochę!” —



Górny odcinek północno-zachodniej grani — z lewej szczyt Makalu (8481 m). Strzałką oznaczono płytowy uskoki (IV) z hakiem Kukuczki, a znakiem „X” — miejsce odwrótu w dniu 8 października.

Fot. Janusz Skorek

mówi, podając mi maskę. Przysysam się do wilgotnej rury, ale nie czuję żadnego efektu. Nic dziwnego — manometr wskazuje zero: koniec tlenu. W ciasnocie namiotu nie sposób ubierać się jednocześnie. Podczas gdy chłopcy przygotowują się, ja zajmuję się gotowaniem. Ostatecznie wyruszam w 40 minut po nich.

Słońce oświetla grań bladym światłem. Wieje silny wiatr i jest zimno, ale idzie mi się dobrze. Robię po 20 kroków bez nadmiernego rzeżenia. Dystans do czołowej dwójki jakby zaczął maleć. Podchodzę właśnie do przełamania, jakie tworzy wielki skalny uskoki w grani. Po ośpijającym się śniegu wlażę na skały przełamania. Jestem pełen dobrych myśli. Ale widok, jaki się ukazuje, jest mało budujący: przede mną wielkie połacie płyt, pokryte cienkimi płatkami śniegu. Opadają one kilkaset metrów niżej do wielkiego lodowego kotła, który trawersuje droga francuska. Wspinaczka staje się delikatna, a ja na dodatek nie mam żadnego sprzętu. W coraz bardziej niewyraźnym nastroju docieram do miejsca, gdzie śnieg jest pozarywany przez Andrzeja i Janusza. Próbuję przemieścić się bardziej z lewej, ale po kilkudziesięciu krokach zatykam się tak gruntownie, że z trudem udaje mi się wrócić na stary ślad. Czas leci nieubłaganie, a wraz z jego upływem oddala się szczyt. Na wysokości ok. 8200 decyduję się zaprzestać solowych wygłupów i wrócić do namiotu.

Zejście nie jest łatwe. Ni stąd, ni z owąd zrywa się kurniawa. Przytrzymuję rękoma poły rozpiętego anoraka — jakoś nie przyjdzie mi do głowy, żeby go zapiąć. Docieram wreszcie do namiotu i walę się do środka, buty z rakami pozostawiając zewnątrz. Od-

poczywam. Po jakimś czasie słyhać chrzęst raków. To wracają chłopcy.

— Ze szczytu? — pytam.

— Nie, zgoniło nas! — pada odpowiedź.

Janusz ma odmrożony paluch, Andrzej jednak namawia mnie, abym ponowił z nim

próbę jutro lub pojutrze. Nie wyrażam na to ochoty — czuję się już zbyt zmęczony, aby startować jeszcze raz po „odpoczynku” bez tlenu na ośmiu tysiącach. Na zewnątrz szaleje wichura i śnieżna krupa miecie o ściany namiotu. Chyba jednak atak trzeba będzie powtórzyć od dołu.



ANDRZEJ CZOK

Trzy dni na ośmiu tysiącach

7 października. Zwinawszy w „trójce” namiot i karimaty, ruszamy obaj z Januszem Skorkiem po poręczówkach. Plan jest prosty. Doładować do plecaków rzeczy pozostawione wczoraj, zabrać liny i sprzęt, zaporęczować drugą połowę „Deltę” i wejść na grani na wysokości 8000 m. Młody (Andrzej Machnik) wspina się za nami, niesie butlę z tlenem i spiwór dla siebie. Wszystko idzie planowo, z wyjątkiem paru złośliwości ze strony przedmiotów, jak np. utrata menażek podczas dopakowywania depozytu. Spokojnie rozpinamy liny i pokonujemy końcowe trudności. Na grani po stronie północnej jest dużo miejsca. W zapadającym zmroku walczymy z namiotem, kotłującym się na wietrze. Po 20 minutach Janusz jest już w środku, ja biorę ostatni kawałek liny i poręczuję odcinek pod granią, gdzie Młody mógłby mieć w nocy kłopoty. Potem siedzimy w namiocie, mamy maszynkę i lód, ale nie mamy menażek. Na szczęście kończy się gaz w kartuszu, który szybko przerabiamy na kubek i gotujemy 0,3 l wody. Pytam przez Klimka bazę o Młodego.

— Widać światelko w połowie górnej Deltę, ale się nie rusza, wygląda na to, że chce biwakować.

Ale Młody idzie dalej i około ósmej częstujemy go herbatą. Jest butla z tlenem, obaj z Januszem nakładamy maski. Po dwóch godzinach robi mi się gorąco. Zdejmuję kurtkę i spodnie puchowe. Tak, z użyciem tlenu krążenie krwi jest zdecydowanie lepsze.

8 października. Jest godzina 4.30, gdy zaczynamy pichcić i ubierać się. Po 3 godzinach wymarsz. Zabieramy 30 m cienkiej liny i kilka karabinków. Grani nie widać w całości. Wiemy, że jest pozbębiona i że trzeba się trzymać północnych stoków. Wyżej robi się ciepło, zdejmujemy kurtki a nawet anoraki. Za to teren staje się stromy, a łamiąca

się pokrywa śnieżna wybija z rytmu. Na przełęczce hula wiatr, wkładamy więc znów anoraki. Ukazuje się dalszy ciąg grani, co gasi nasz radosny entuzjazm: to jeszcze kawał drogi! Coraz więcej sypkiego śniegu, nachylenie 35—40°. W pewnej chwili zjeżdżam z śnieżną soczewką, ale zatrzymuję się i tylko sznurek śladów na stoku ma uskok w swoim ciągu. Lekki wietrzyk zamienia się w wichurę i pod płytowy uskok na turni w grani docieram nieźle zziębnięty. Zimno wciska się wszędzie. Wiążę się liną i zapycham się w śniegu pokrywającym trudną skałę. Próbuje wprost. Popekana trójkowa płyta. Jest hak, listek Simonda Jurka Kuczkzi z ubiegłego roku. Ściągam Janusza. Niestety, do szczytu jeszcze daleko. Wiatr wyje, a teraz trzeba by iść granią przez konie śnieżne. „Ten wiatr nas zakatuje — mówi Janusz. — Nie mam już czucia w nogach.” Szczyt już niedaleko, godzina lub półtorej, co robić? Wichura nie ustaje i decydujemy się na odwrót. Gorycz porażki osładzam sobie myślą, że spróbujemy jutro.

Wieczorem pijemy herbatkę i sposobimy się do spędzenia drugiej nocy w „czwórce”. Janusz zdejmuje buty. Ho, ho — duży palec u prawej nogi jest czarny. Ano tak, to już jutro ataku nie będzie. Gdy próbujemy zasnąć nachodzi mnie myśl, że może nie wszyscy musimy wracać do bazy. Janusz da sobie radę na poręczówkach, może Młody się zmobilizuje, zaliczył dziś przecież przeszło 8000 metrów.

9 października. Przedstawiam swoje przeświadczenia chłopcom i bazie. Wiatr szarpiący całym namiotem i godzina 9 nie pozwalają myśleć o ataku w dniu dzisiejszym, ale może jutro? Młody zbiera się do wyjścia z Januszem. W bazie i „jedyńce” tworzą się dwa stronnictwa. Koronnym argumentem przeciw mojemu pomysłowi jest to, że spędziłem już dwie noce na 8 tysiącach. Argumentem „za” jest świadomość, iż przygotowanie nowego ataku zajmie minimum 7 dni, bez gwarancji, że pogoda będzie wtedy lepsza. Szef staje na szczęście po mojej stronie i około południa kręć się już sam wokół namiotu, znoszę kamienie i umocowuję go. Nie bardzo wierzę, że wiatr się uspokoi. Tkwią tu bez wiary w sukces, chcą tylko do końca wykorzystać szanse.

Tyle pracy włożyliśmy już w tę przeklętą górę, Tadek Szulc zapłacił za nią życiem... Przypominam sobie, jak trzy dni temu walczyliśmy z Januszem na płytowej barierze, oddzielającej górne pole „Deltę”. Podeszedłem tam do punktu, gdzie najwyżej sięgał lód grubości 1 cm. Przy kolejnych próbach wbicia w płyty małego bodaj haczyka oparowało mnie zwątpienie. „Czy tutaj ma się zakończyć nasza próba przejścia zachodniej ściany?” — myślałem. Janusz, który ma nosa do skały, doradził mi lewą stronę. Zrobiłem tam delikatny trawers po lodzie 40 cm szerokości, mieszczącym się w załamaniu płyt. Czekan i czekanomotek były w tej samej odległości od przednich zębów raków, przesuwalem się więc zgięty w pałąk. Najważniejsze, że cienki lód ciągnął się dalej od lewej do prawej, co prawda wyżej też się nie łączył z górnym lodem, ale było tam już zaciątko ze szczeliną, a nie gładka płyta, którą może dałoby się przejść w korkach, ale to przecież 7700 metrów! Asekura-

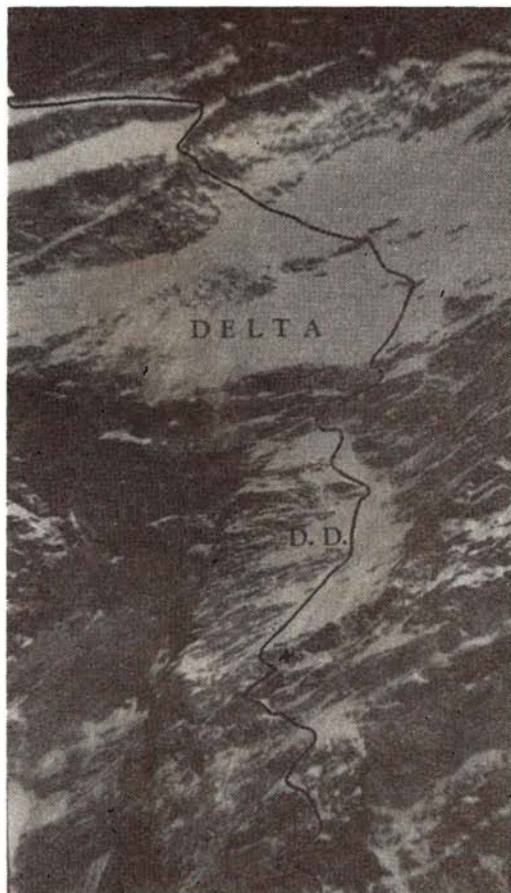


Biało-czerwona nad Himalajami. Zdjęcie w kierunku północno-zachodnim.

Fot. Andrzej Czok

Sciana ponad obozem III. Krzyżyk wskazuje miejsce śmierci Tadeusza Szulca, trójkącik u góry — obóz IV (8000 m). D.D. = dolne pole Deltę.

Telefoto: Aleksander Pańków



cja się przesztyniła, więc ściągnąłem Janusza i poszedłem dalej — ciągle z duszą na ramieniu. Teraz albo nigdy... Miałem 2 haki przelotowe — ząb raka prawej nogi w szczelinę, dziób czekana w szczelinie wyżej, lewa ręka z czekanomotkiem na płycie, ząb raka lewej nogi na orzeszek na tejże płycie. Powtórzyłem te ruchy kilka razy i stanąłem na rozdgotanych nogach na górnym pasemku lodu. Jeszcze kilka miejsc trzeba było przejść na wstrzymanym oddechu, by się dostać na krawędź śnieżnego pola „Górnej Deltę”.

Ile takich odcinków było na naszej drodze? I teraz mielibyśmy się poddać o krok od szczytu?

10 października. Jest wczesne rano, wichura nadal targa namiotem. Gotuję 2 herbatki, dojadam resztę fasoli z liofilizatu, ubieram się z determinacją i postanawiam dojść jak daleko się da i tam pozostawić proporczyki flagowe. Ponieważ jestem sam, wyruszam już o 6.15. Wiatr parę razy przydusza mnie do stoku, ale w kuluarze jest spokój. Odżywam. Na przełęczce w grani łączę się bazą. Mówię, że tempo mam niezłe, że po śladach idzie mi się łatwiej, niż za poprzednim razem. Ostrze grani osiągam o 3 godziny wcześniej. Pokonując w górę i w dół zęby śnieżnego grzebienia, przypominam sobie słowa Jurka Kukuczki, że ten odcinek jest dość ryzykowny. W miejscach osłoniętych od wiatru cukrowaty śnieg osuwa się spod nóg, a ekspozycja na obie strony jest duża. Tam, gdzie cienka grań przechodzi w zbocze kopuły szczytowej, jestem już prawie pewien, że wejść. O godzinie 12.45 melduję się bazie przez Klimka — ze szczytu! Na dole wybuch radości, cieszę się i ja, choć trochę żal, że jestem sam i nie ma kogo uściskać. Czasu mam dużo, wydaję więc maszcik flagowy zrobiony z prętów namiotu. Flagi — polska, nepalska i brazylijska —

zajmują tyle miejsca, że końcówka do wbicia w śnieg jest zbyt krótka i muszę całą konstrukcję podpieierać czekaniem. W trakcie tych zabiegów wydłubuję ze śniegu bambusowy traser, zapewne po wyprawie koreańskiej. Fotografuję panoramę, głównie dywany chmur aż po horyzont. Wystają nad nie Lhotse i Everest, a na wschodzie Kangchen-dzonga. W dziurze wokół Makalu widać bliższe szczyty.

Los trasera bambusowego nasuwa mi pomysł, by maszcik z flagami przywiązać do starej butli tlenowej na skałach 10 m niżej od strony filara zachodniego. W sumie pobył

JAN WOLF

Matterhorn zimą 1983

Zimą 1982—83 zapisano w annałach alpejskich jako nietypową: przyniosła ona kilka okresów naprawdę wspaniałej pogody. Na jeden z nich, blisko dwutygodniowy, szczęśliwie trafiła nasza grupa międzyklubowa. W wyjeździe udział wzięli Piotr Gałuszka i Andrzej Gągor z Bielska-Białej, Mirosław Dąsał, Leszek Bednarz, Piotr Lutyński i Jan Świder z Krakowa, Krzysztof Kraska z Łodzi oraz — jako kierownik — Jan Wolf z Warszawy. Bazę założyliśmy we włoskiej miejscowości Cervinia-Breuil pod Matterhornem, na tym też szczycie skupiliśmy całą naszą działalność, chociaż warunki nie były tu najlepsze: słoneczna pogoda i brak opadów spowodowały, że na północnej ścianie brakowało lodu, a krucha, niekorzystnie uwarstwiona skała znacznie utrudniała wspinaczki. Stanowiliśmy 4 dwójki bardzo zróżnicowane pod względem przygotowania i doświadczenia.

Zespół bielski postanowił zrobić trawersowanie Matterhornu, wchodząc nań granią włoską. Próba podjęta w dniach 23—26 lutego załamała się wskutek niepogody. Drugi atak przypuszczono 3 marca, ponieważ jednak było sporo świeżego śniegu, szczyt osiągnęto dopiero po 3 dniach. Podczas zejścia

na szczycie trwa około pół godziny. A potem w dół i w dół!

Parę minut po czwartej jestem już w obozie IV. Przez chwilę zastanawiam się, czy mimo braku butanu nie przenocować w nim jeszcze jednej nocy. Ale baza obstaje przy żądaniu, bym schodził do „trójki”. Pakuję śpiwory, maszynkę i radiotelefon, zostanie tylko namiot z karimatami. W czasie zejścia to rak spada mi z buta, to plecak leci ciągle na prawe ramię, nie przejmuję się już jednak niczym i w ciemnościach ładuję w „trójce”. Jest tu w bród wszelkiego dobra, szczególnie do jedzenia i picia. Zasypiam z błogim uczuciem, że moja praca została wykonana.

Planu Bednarza i Dąsała były bardziej ambitne: postanowili oni powtórzyć drogę braci Schmidów na północnej ścianie. W dniu 24 lutego przebyli dolne pola lodowe, wycofali się jednak, gdyż zepsuła się pogoda. 4 marca weszli w ścianę ponownie. Tym razem pogoda dopisała i po 3 1/2 dniach osiągnęli wierzchołek. Dość długi czas wspinaczki był wynikiem ciężkich warunków panujących w północnej ścianie.

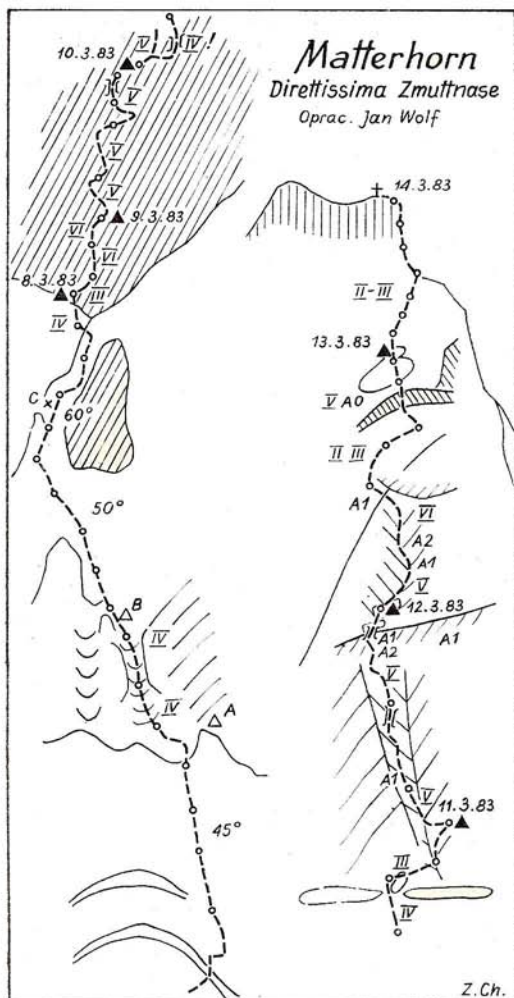
Lutyński, Kraska, Świder i Wolf początkowo zjednoczyli siły i zaatakowali północną zerwę Zmuttnase — direttissima Pioli i Steinera z r. 1981*. Po biwaku, 25 lutego wycofali się do Cervinii, gdzie cały obóz czekał okres niepogody. Ponowny atak przeprowadzono tym samym zespołem między 3 a 5 marca. Próba załamała się niespodziewanie wskutek straty plecaka — już po przejściu prawie całej lodowej partii ściany. Zespół spędził noc bez sprzętu puchowego i następnego dnia wycofał się zjazdami, nie planując powrotu w ścianę, której przejście okazało się bardzo problematyczne. Następnego dnia w schronisku Hörnli zrewidowano tę decyzję. Przepakowano sprzęt i podzielono się na dwa zespoły.

Lutyński i Świder przeszli 7 marca wschodnią ścianę Matterhornu. Wspinaczkę rozpoczęli około 1 w nocy, tak że pod spiętrzeniem szczytowym byli jeszcze przed świtem, a około godz. 15 osiągnęli wierzchołek, by następnie zejść granią włoską (którą tuż przed nimi schodzili Bednarz i Dąsał). Nie jest wykluczone, iż było to pierwsze przejście zimowe, gdyż wspinaczka Stanisława Biela i Jana Mostowskiego 25 i 26 kwietnia 1959 r. nie mieści się w sezonie kalendarzowym.

Od lewej: Jan Świder, Jan Wolf, Krzysztof Kraska i Piotr Lutyński.

Fot. Jan Wolf





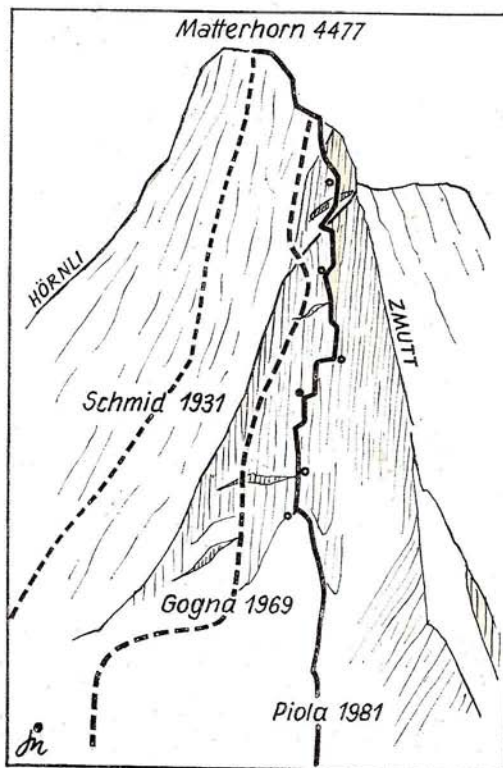
A — biwak przy pierwszej próbie; B — dwa biwaki przy drugiej próbie; C — odwrót podczas drugiej próby.

Kraska i Wolf wrócili tymczasem do Cerninii, uzupełnili ekwipunek i 8 marca — już dwójką — po raz trzeci weszli w drogę Pioli. Mimo bardzo ciężkich plecaków tempo było dobre, tak że o zmroku osiągnęli najwyższy punkt poprzedniej próby. Partia skalna wydawała się blisko, niestety, by do niej dotrzeć musieli kontynuować wspinaczkę aż do godziny 3 nad ranem. Biwak był bardzo niewygodny. Około godziny 10 ruszyli w dalszą drogę. Rozpoczęła się niezwykle trudna część skalna. Prowadził Krzysiek, podziwiałem odwagę, z jaką atakował atletyczne odcinki rysy, którą na tym etapie prowadzi droga. Po 3 niepełnych wyciągach zabiwakowaliśmy siedząc na małej półeczce skalnej. 10 marca weszliśmy w teren o nieco mniejszym nastromieniu, trudności były jednak nadal duże, mieliśmy też kłopoty z wyborem drogi. Cały czas było bardzo krucho, Z

radością przygotowywaliśmy kolejny biwak — zaznaczyli go nawet w opisie autorzy drogi, spać można było wreszcie w pozycji leżącej.

Czwarty dzień wspinaczki zaczął się niefortunnie. Wyciąg był szczególnie kruchy, wiódł skośnie w prawo pod okapami — podchwyty i odciaży. Jeden z chwytów wykruszył się i Krzysiek wyładował 8 m niżej. Uderzył się przy tym mocno na nogę, a stłuczenie nie pozwoliło mu już na prowadzenie. Wreszcie osiągnęliśmy „tarasy” — w rzeczywistości silne nachylone płyty, półki, a właściwie tylko gzymsy. Mimo nazwy, nie nadawały się one zupełnie na biwak. Na noc zatrzymaliśmy się więc „wyżej”, u podstawy „rampy”, nieco w bok od drogi, ale za to dość wygodnie. Następnego dnia wspinaliśmy się w „rampie” — poszły w ruch nie używane do tej pory ławeczki. Stanowiska wiszące, siłowe odcinki klasyczne, trochę ładnej hakówki. Biwak był fatalny — na pochyłej płycie, od dołu podciętej okapem. Było do rana — mówiliśmy — koniec części skalnej jest już blisko.

13 marca zrobiliśmy wyjątkowo trudny wyciąg wyjściowy, z przewieszoną siłową szczeliną i wylatującymi hakami. Spadł jedyny już młotek, ale kolejne straty sprzętu przestały na nas robić wrażenie. Wisząc na krawędzi okapu, ogarnąłem wzrokiem przebytą drogę. Widać było dokładnie całą skalną partię, a na lodowej części sporo śladów po kamieniach. Chyba jednak lepiej — pomyśla-



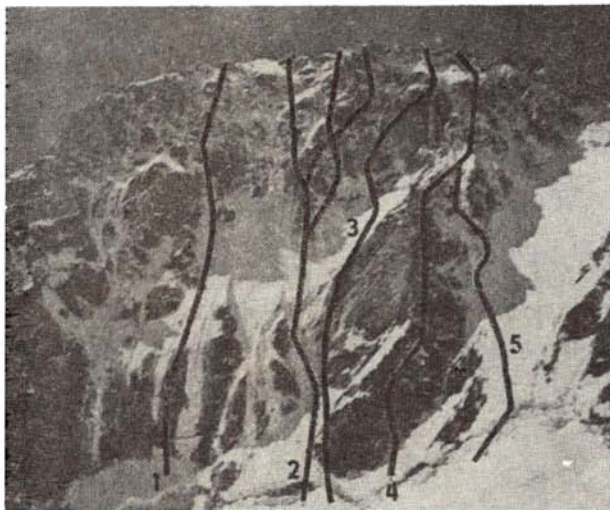
tem — że jesteśmy tu we dwóch. Kruszyzna Matterhornu dla większego zespołu mogłaby być zdradziecka.

Weszliśmy teraz w trzecią część drogi — mikstową. Pierwsze wyciągi były nietrudne, choć teren kruchy i źle uwarstwiony. Wyżej drogę zagroził nam skalny próżek. Próbowałem z prawej, z lewej, na wprost — płynęły godziny a ja wciąż byłem pod próżkiem. Wreszcie zdjąłem plecak — trzy haki i próżek był pokonany. Na polu śnieżnym nad nim założyliśmy kolejny — który to już? — biwak. Wiatr nadymający płachtę nie wróżył nic dobrego. Ranek przywitał nas mgłą i śnieżycą, ale jedyna droga prowadziła teraz tylko przez szczyt. W dniu 14 marca o godzinie 14 staliśmy na włoskim wierzchołku Matterhornu (4476 m). Przez chmury na chwilę przebił się nawet promień słońca. A więc udało się! Pierwsze zimowe przejście takiej drogi — bez wątplenia najtrudniejszej obecnie na Matterhornie... Schodziliśmy granią Hörnli. Warunki z każdą godziną pogarszały się. Mieciony wiatrem śnieg padał coraz gęściej, widoczność ograniczyła się do kilku metrów. Nasz powrót do Cervinii trwał aż 5 dni.

W marcu byliśmy jedyną grupą alpinistów przebywającą w tym uroczym miasteczku.

ANDRZEJ MARCISZ

Zimowy obóz w Chamonix 1983



Północna ściana Les Droites (4000 m) — reprodukcja z „Alpinisme et Randonnée” nr 25. Drogi: 1. Boivin — Gabarrou 1974; 2. Cornuau — Davaille 1955 (najpopularniejsza na ścianie, w górze różne warianty); 3. Brooks — Colton 1977 i Boivin — Martinez — Profit — Rodrigue 1980; 4. czechosłowacka direttissima północnego filara, Simon — Slavík 1979; 5. Couzy — Saison. Lewą częścią wiedzie droga P. Bednarka i S. i J. Tallów z r. 1977.

Spotkaliśmy się z bardzo miłym przyjęciem i dużym zainteresowaniem. Korzystaliśmy z pomocy parafii Cervino, Scuola di Sci Cervino i Club Alpino Militare Cervino. Dostęp do Matterhornu jak i do innych szczytów Alp Walijskich jest z Cervinii bardzo dobry, lepszy nawet chyba niż z Zermatt. Warto to brać pod uwagę przy planowaniu wyjazdów w te rejony. Obóz należy uznać za udany. Jego głównym sukcesem jest przejście direttissimi. Ponieważ jednak, oprócz podpisanego, pozostali uczestnicy byli zimą w Alpach po raz pierwszy, nie bez znaczenia jest też fakt, że wszyscy stanęli na wierzchołku Matterhornu.

* Drogę tę wytyczyli w dniach 29 lipca — 1 sierpnia 1981 dwaj młodzi Szwajcarzy, Michel Piola i Pierre-Alain Steiner — dokładnie w 50-lecie przejścia północnej ściany przez Franza i Toniego Schmidów (31 lipca — 1 sierpnia 1931). W dniach 17—25 września 1981 drogę Piola powtórzyli Jugosłowianie Boštjan Kekec i Roman Cerar. Kraska i Wolf byli przeświadczeni, że robią jej pierwsze przejście zimowe. Dopiero w maju dowiedzieliśmy się o krępną drogę, że uprzedził ich 25—31 grudnia 1982 Szwajcar Daniel Anker z dwoma towarzyszami, o czym na miejscu nie było nie wiadomo, a i w druku do lipca nie ukazało się żadne doniesienie. Tak więc przejście jest drugim zimowym, co nie odejmuje mu oczywiście wybitnej sportowej wartości. (Red.)

Do Chamonix przybyliśmy 18 lutego 1983. Po załatwieniu spraw związanych z pobytem, wykorzystując dobre warunki wspinaczkowe oraz utrzymującą się pogodę, przystąpiliśmy do realizacji planu działania. Trójka Andrzej Marcisz, Jacek Kozackiewicz i Ryszard Pawłowski przebyła w dniach 20—23 lutego 1983 drogę Boivin-Martinez-Profit-Radigue na północnej ścianie Les Droites. Pozostała dwójka — Jan Fijałkowski i Michał Momatiuk — dokonała w tym samym czasie przejścia północno-wschodniego kuluaru lodowego spadającego z Brèche des Drus. Należy podkreślić dobre przygotowanie kondycyjne i techniczne obu zespołów. Szybkie przejścia trudnych dróg bez uprzedniej aklimatyzacji spotkały się z dużym uznaniem w Chamonix.

Po tygodniowym odpoczynku, Marcisz, Kozackiewicz, Fijałkowski i Pawłowski wyruszyli z zamiarem zrealizowania głównego celu obozu, to jest przejścia północno-wschodniej ściany Wielkiego Filara Narożnego. Jednak po dwóch dniach podejścia w b. trudnych warunkach, spowodowanych dużymi opadami śniegu, a także z powodu choroby jednego z kolegów, zdecydowano się powrócić do Chamonix. Podczas naszego wyjścia Michał Momatiuk oraz Bożena Hartman przebyli 6—8 marca super couloir Mont

Blanc du Tacul, jedną z najtrudniejszych dróg lodowych w tym rejonie. Na zakończenie obozu Ryszard Powłowski przeszedł 9 marca samotnie kulaar Gervasuttiego na Mont Blanc du Tacul, zaś Jan Fijałkowski w towarzystwie Słowaczki Złaticy Podhorskiej drogę Gabarrou na tym samym szczycie (10—11 marca). Obie te drogi dziś nie cieszą już takim uznaniem, jak kiedyś, nie przedstawiają też większych trudności.

Ogólnie biorąc, wyjazd należy uznać za udany. Przebyto 3 trudne drogi lodowe, co jak na małą liczbę osób i krótki czas pobytu jest wynikiem bardzo dobrym.

OD REDAKCJI. J. Fijałkowski i M. Motiatuk przeszli północno-wschodni żleb Drus wariantem T. Sorensena, który barierę skalną pokonał wprost. Wspinaczkę rozpoczęli po południu, biwakowali pod barierą, by sforsować ją następnego dnia (5 wyciągów przewieszonym kominem, IV A1). Trzeciego dnia byli na szczycie. Droga z tym wariantem miała już kilka powtórzeń, czy także zimą.

ANDRZEJ SKŁODOWSKI

Zimowy sezon taternicki 1982—83

Miniona zima taternicka była — w porównaniu do lat ubiegłych — sezonem słabszym i znacznie mniej interesującym. Mniej było w górach wspinaczy, gorsze też były, ogólnie biorąc, warunki pogodowe. Dość dobrze dokumentują to „książki wyjść” trzech naszych schronisk, na których to w dużej mierze opieram swoje, z pewnością niepełne, omówienie.

WOKÓŁ MORSKIEGO OKA

Działalność sportowa koncentrowała się tradycyjnie w rejonie Morskiego Oka i tamtejsza „książka wyjść” zawiera takie m.in. ciekawsze osiągnięcia:

Zabi Szczyt Wyżni — północna ściana, droga Stanisławskiego: K. Renik i A. Skłodowski 3-4 XII 1982.

Mięguszowiecki Szczyt — wschodnia ściana, droga Surdela: P. Bujakiewicz i M. Skrzypczak 7-9 XII.

Mięguszowiecki Szczyt — północno-wschodnia grzęda: P. Barabaś, P. Bujakiewicz, R. Kołakowski i T. Targalski 13-14 I 1983

Mała Rogata Szczerbina — droga Węgrzynowicza od północy: P. Barabaś i R. Kołakowski 25 I.

Kocioł Kazalnicy — tzw. Ściek (pierwsze przejście bez poręczowania): K. Drożdżeński i K. Pankiewicz 14-16 II. Trzeci biwak w Kotle.

Mięguszowiecki Szczyt — superdirtissima północnej ściany: R. Dawidek i R. Krokowski 13 III (I przejście jednodniowe?).

Kazalnica Mięgusowiecka — „kant filara”. K. Niechciałkowski i M. Pawlikowski 13-14 III.

Kazalnica Mięgusowiecka — droga Długosza (z Dwoistym Zacięciem): M. Danielak i P. Konopka 13-14 III.

brak jest informacji. Droga przebyta na północnej ścianie Les Droites przez zespół Marcisza została wytyczona przez Anglików Nicka Coltona i Choe Brooksa, jednakże — z ominięciem 1/3 wysokości ściany. W dniu 26 lipca 1980 r. powtórzyli ją w 13 godzin J.M. Boivin, P. Martinez, Ch. Profit i D. Radigue — z dodaniem owego brakującego odcinka (dlatego w literaturze mówi się często nie o drodze, lecz o wariacie Boivina). Zimą jako pierwsi przeszli tę kombinację E. i R. Escoffierowie 25 stycznia 1981, drugie przejście zimowe odbyło się w sezonie 1981—82. Krótkie informacje o polskim obozie w Chamonix ukazały się w „Dauphiné libéré” z 9 marca i w zeszyte czerwcowym „Alpinisme et Randonnée”. To drugie pismo podało też wiadomość o tym, iż grupa z Zakopanego próbowała wyszukać nową drogę na Grandes Jorasses — między drogami Bonattiego i Grossa. Dodajmy jeszcze, że w grudniu 1982 r. kuluary Jaegera i Gabarrou na Mont Blanc du Tacul przeszedł Piotr Paćkowski.

Mięguszowiecki Szczyt — ściana czołowa północno-wschodniej grzędy, droga Łozińskiego: P. Bujakiewicz i J. Muskat 17 III (I przejście jednodniowe).

Kazalnica Mięgusowiecka — „kant filara”: A. Łuczak i P. Wojtek 17-19 III.

Kocioł Kazalnicy — Ściek: R. Pawłowski 17-20 III.

Mięguszowiecki Szczyt — północno-wschodnia grzęda: R. Dawidek i P. Konopka 18 III.

Kocioł Kazalnicy — tzw. „superściek” (I przejście bez poręczowania): M. Danielak i M. Pawlikowski 18-19 III.

Mięguszowiecki Szczyt — superdirtissima północnej ściany: J. Kowalik i P. Panufnik 18 III.

Kazalnica Mięgusowiecka — droga Długosza (z Dwoistym Zacięciem): J. Barszczewski i J. Muskat 20 III.

Kocioł Kazalnicy — droga Gryczyńskiego: T. Bender i M. Nanowski 8 IV.

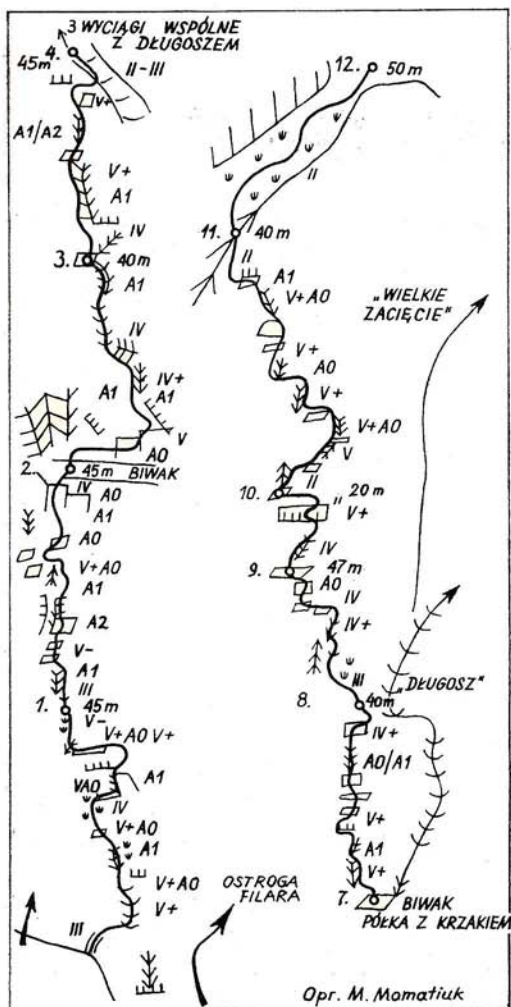
Z rejonu Morskiego Oka odnotować także można kilka przejść dirtissimy północnej ściany Mięgusowieckiego Szczytu, kilka prób przejścia grani wokół doliny, dwa czy trzy przejścia depresji Niżnich Rysów. Blisko trzecia część wszystkich odnotowanych w „książce wyjść” dróg to wspinaczki żłebem Kurtyki i rysą Strzelskiego na Mnichowe Plecy. Równie dużym powodzeniem cieszyły się różne drogi na Mnichu i Zabiej Czubie. „Książka wyjść” informuje o 1 tylko próbie ataku na wschodnią ścianę Mięgusowieckiego (drogą Jana Surdela). Nie odnotowano żadnego przejścia drogi Łapińskiego na Kazalnicy czy np. północnej ściany Pośredniego Szczytu Mięgusowieckiego.

HALA I PIĘĆ STAWÓW

Również na pozostałym obszarze polskich Tatr Wysokich ruch wspinaczkowy był skromny. „Książka wyjść” z „Murowańca” informuje o kilku przejściach filara Świnicy oraz obu ścian Kościelca — zachodniej i wschodniej. Nie słyhać o ani jednym przejściu takich „zimowych” dróg, jak komin Drège’a, droga Dorawskiego na północno-wschodniej ścianie Świnicy czy droga Wicherkiwicza na północnej ścianie Kozich Czub. Sezon zimowy rozpoczęły tu dwa zespoły z KW Łódź, przechodząc 12 grudnia 1982 drogę Jaworskiego i Pawlikowskiego (tzw. *directissime*) oraz drogę Dorawskiego i Sokołowskiego na północnej ścianie Wielkiej Buczykowej Turni (odpowiednio: A. Markarczyk i M. Sygnet oraz J. Głuszcak i J. Jachymski).

Schemat drogi na Kazalnicy — opis na s. 44.

Rus. Justyna Nyczanka



W otoczeniu Doliny Pięciu Stawów wyniki są ciekawsze, na pierwsze zimowe przejścia czekało tu przecież kilka dróg wytyczonych w ostatnich latach. Ponieważ z ich identyfikacją bywają kłopoty, informacje o przejściach podajemy za autorami wpisów w „książkach wyjść” bądź notatek przesłanych do „Taternika”:

Walentkowy Wierch — komin północno-wschodniej ściany: L. Jacewicz, G. Nitka, J. Skrzypeczyński i B. Stefko 3 II 1982. Pierwsze przejście zimowe.

Przełęczka nad Dolinką Buczynową — droga Ka-
łuży i Wiatraka: J. Bakoń, J. Krajewski, R. Krzy-
żak i B. Stefko 4 II. Pierwsze przejście zimowe.

Kozie Czuby — filar Skłodowskiego na ścianie południowo-zachodniej: R. Celej, J. Szulc i A. Kokocho 14.II. Pierwsze przejście zimowe.

Zamaria Turnia — droga Jargiły i Paćkowskie-
go: T. Krok, J. Mastalerz i W. Niemiec 14 i 16 II.
Pierwsze przejście zimowe.

Kozie Czuby — południowo-zachodni filar dro-
ga Markiewicza: J. Markiewicz i T. Serkowski
25 II. Pierwsze przejście zimowe.

Kozi Wierch — lewy filar południowo-zachodniej ściany, droga Michnowskiego: J. Markiewicz i M. Zieliński 5 III. Pierwsze przejście zimowe.

Kozi Wierch — prawy filar południowo-zachodniej ściany, droga Krzyżaka i Mastalerza: W. Niemiec i P. Nowiński 20 III. Pierwsze przejście zimowe.

Z ambitniejszych powtórzeń w tym rejonie należałoby wymienić przejście Komina Po-
kutników na Buczynowej Strażnicy (Z. Mły-
narczyk i J. Ryszewski 30 III) oraz dwa
przejścia wschodniego filara Zadniego Gra-
natu (W. Gnoiński i P. Kwiatuszewski 14 II;
J. Speil i K. Zdzitowiecki 26 II). Do redakcji
„Taternika” wpłynęły też opisy pierwszych
przejść dokonywanych w rejonie Świątowej
Czuby i Orlej Ściany, nie przytaczamy ich
jednak z uwagi na przepisy o ochronie re-
zerwatów ścisłych.

TATRY ZACHODNIE

Kilka meldunków otrzymaliśmy też z Tatr Zachodnich, gdzie sezon zimowy mocnym akcentem otworzyli koledzy Marcisz i Vermessy. Ponieważ działalność w tej części Tatr jest bardziej rozproszona, trzeba przyjąć, iż przejść było tam znacznie więcej. A oto te, o których wiemy:

Kozi Grzbiet — nowa droga północną ścianą (direttissima): A. Marcisz i W. Vermessy 2-3 XII 1982 (V, A0-A1, 14 godzin).

Długi Giewont — nowy wariant (wprost grzędą) do drogi Cywińskiego „Na Szczerbinę”: R. Dawidek i P. Konopka 9 I 1983.

Pośrednia Sucha Czuba Kondracka — nowa droga
środkowym kominem północnej ściany: Z. Mlynarczyk 1 II 1983 (V, A2).

Raptawicka Grań — pierwsze zimowe przejście tzw. „załupy Drzewusa”: Krokowski i K. Malzacher 3 II 1983.

Ratusz — nowa droga lewą częścią północno-zachodniej ściany (?): A. Jagocha i J. Ksiński 19 II 1983. Nadesłany opis zawiera niejasności, nie możemy ich jednak rozwiać, gdyż autorzy — jak to często bywa — nie podali swoich adresów.

NA SŁOWACJI

Zimą 1982-83 kilku klubom udało się zorganizować obozy — za pośrednictwem „Almaturu” bądź też Biura Turystyki Zagranicznej PTTK. Niektóre z nich trafiły na niekorzystającą pogodę jak np. obóz KW Wrocław (15-29 stycznia). W kartce znad Zielonego Stawu Kieźmarskiego donosił Aleksander Lwow: „Pogoda przypomina Himalaje zimą. Książka wyjść pusta od wielu tygodni, a chatair twierdzi, że właściwie nic się tu do tej pory nie działo.” Bardziej pozytywny meldunek przekazał Ziemowit J. Wirski:

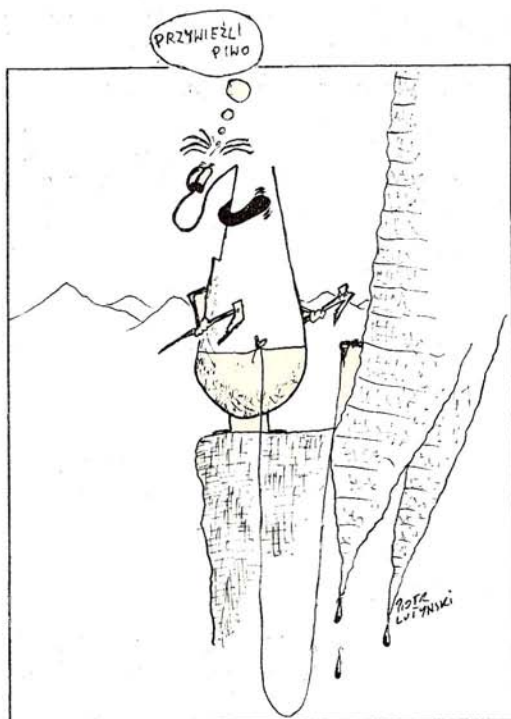
„W dniach 12-19 marca AKA Politechniki Warszawskiej zorganizował po raz pierwszy od trzech lat zimowy obóz na Słowacji — w Dolinie Mięgoszowieckiej. Mimo krótkiego pobytu (efektywnie 6 dni), wyniki są dość interesujące. 14 marca Andrzej Słuzek i Marek Wosik wytyczyli nową drogę na wschodnim filarze (w dole lewym żebrem) Małej Baszty. Tegoż dnia Marek Pokszan z Maciejem Rzeszutko pokonali w 5 godzin wschodnią ścianę Wysokiej w sposób być może nie praktykowany. drogą Dobruckich (WHP 1297) do końca trudności, dalej wprost do góry przez spiętrzenie (na prawo od zębra, zalodzonego kominkiem) i z odchyleniem w prawo do drogi Motyki, którą na południowo-wschodni wierzchołek. Kombinację tę powtórzyli następnego dnia w 6 godzin Marek Kubiś, Tadeusz Targalski i Ziemowit Wirski. 16 marca Targalski i Wirski dokonali prawdopodobnie pierwszego polskiego zimowego przejścia całości zachodniego zębra Zadniej Osterwy — z przejściem grani Igieł w Osterwie (AP V-XVI. 112). W dzień później Kubiś z Pokszanem przeszli południowy filar Ganku, zaś 18 marca Targalski i Wirski weszli na Dziurawą Przełęcz drogą Witka (A. P. V — XVI. 45). Na uwagę zasługuje wyczyn Tadeusza Targalskiego, który 14 marca uczestniczył w przejściu drogi Derdy na Pośredniej Baszcie, po czym tegoż dnia przeszedł samotnie w 2 godziny drogę Preyznera na tymże szczycie.”

Uczestnicy obozu FAKA, Tadeusz Filipowski i Krzysztof Piławski przeszli 8-10 II drogą Rybički na północnej ścianie Pośredniej Złotej Kazalnicy (WHP 3380).

ZAMKNIĘTE GÓRY

Spędziłem minionej zimy w Tatrach w czasie kilku pobytów ok. 30 dni i mogę stwierdzić, że charakteryzowała się ona dość niekorzystnymi warunkami pogodowymi i śniegowymi. Dla tych jednak, którzy mimo to chcieli się wspinąć, było też dodatkowe utrudnienie: zamykanie gór. We wszystkich trzech schroniskach ogniskujących ruch taternicki, „książki wyjść” wypełnione są wpisami: „Zagrożenie lawinowe III stopnia; zakazuje się wszelkich wyjść turystycznych i taternickich powyżej granicy lasu — GOPR-PZA.”

Doskonale rozumiem konieczność działania profilaktycznego w Tatrach, potrzebę ostrzeżenia — nie tylko początkujących — o zagrożeniu lawinowym i innych niebezpieczeństwach. Ale wydaje mi się, że tym razem ktoś mocno przesadził. Piszę „ktos”, ponieważ dyżurny ratownik na Hali poinformował mnie wymijająco, iż decyzje o wpisaniu „zagrożenia lawinowego III stopnia” zapadają w centrali GT GOPR po zebraniu meldunków



ze schronisk i skonsultowaniu z obserwatorami PZA.

Jak to wyglądało w praktyce? Przyjmuję za oczywiste i konieczne wpisanie zakazu wyjść na przełomie roku, kiedy to w Tatrach zanotowano bardzo duże opady śniegu i lawiny groziły wszędzie. Właśnie wtedy zdarzył się tragiczny w skutkach wypadek zasypania turystów na szosie powyżej Włosienicy przez lawinę, która zeszła z Głębokiego Zlebu. Ale to, co działo się w lutym na Hali było dla mnie (i nie tylko dla mnie) zupełnie niezrozumiałe. Spędziłem tam 12 dni i w ciągu 8 dni obowiązywał zakaz wyjść „powyżej górnej granicy lasu”. Abstrahuję już od faktu, że w tym samym czasie Kasprowy Wierch „pękał w szwach”, a jak wiadomo, i on znajduje się powyżej górnej granicy lasu. Świadomie łamiąc przepisy, wspiniałem się cały czas i robiłem z partnerem 7 dróg — na Granatach, Czarnych Ścianach, Kościelcu, Zmarzłych Czubach. Warunki były kiepskie, to prawda, ale mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że w ciągu tych dni ani razu nie znalazłem się w strefie zagrożenia lawinowego (a robiłem np. komin Drewnowskiego czy „Zetkę” na Kozich Czubach). Co więcej, chociaż schodziłem kilkoma żlebami, nigdzie nie widziałem śladu lawiny. Do tego wszystkiego panowała piękna słoneczna pogoda.

Jest mi przykro, że złamałem obowiązujące nas wszystkich przepisy, ale co koledy zrobiliby na moim miejscu? Może postąpiliby tak, jak uczestnicy kursu dla początkujących, którzy cały prawie czas spędzili w

„Betlejemce”, boć przecież żaden instruktor (i słusznie) nie zaryzykuje wyjścia w sytuacji „zagrożenia lawinowego III stopnia”.

Problem nabrzmiewał stopniowo, aż wreszcie znalazł sensowne rozwiązanie: Komisja Tatrzańska PZA ustaliła z GT GORP, że wpisy w „książkach wyjść” będą miały od-tąd charakter ostrzeżeń a nie obowiązujących zakazów — decyzję taternicy będą mogli podjąć sami. I słusznie! W końcu ci, którzy znają Tatry dobrze, wiedzą, że tak naprawdę to każdej zimy jest zaledwie kilka czy kilkanaście takich dni, kiedy niebezpieczeństwo lawin jest ogromne. Na ogół jednak prawie zawsze można wybrać taką drogę i takie pod nią podejście, aby sprowadzić ryzyko do rozsądnego minimum.

UZUPEŁNIENIA

Niestety, sporo informacji wymyka się co roku, tym razem np. nie złożono ani „Taternikowi”, ani Komisji Tatrzańskiej sprawozdań z obozów w Tatrach Słowackich. Ponawiamy więc apel do Kole-gów o nadsyłanie uzupełnień do omówień, które

pozwolą nam zbliżyć się do kompletu informacji. Oto kilka uzupełnień, jakie otrzymaliśmy do se-zonów minionych:

Raptawicka Grań — Z. Młynarczyk i M. Ziach przeszli 28 II 1981 drogą W. Myszkowskiego (T. 4/76 s. 147), przypuszczalnie jako pierwsi w zimie.

Czoło Filara Miegusowskiego — I przejścia zimowego drogi Uchmańskiego i Starka dokonali 18 i 20 II 1981 P. Bujakiewicz, P. Wojtek i A. Wyso-czański (powrót zjazdami); I przejścia zimowego drogi Łozińskiego „Czarnym Zacięciem” dokonali 20 i 21 II 1981 A. Marcisz i A. Sobolewski (zeszli również zjazdami).

Mały Młynarz — directissime przeszli W. Jano-wski, M. Piekutowski i K. Smieszko nie, jak podał T. Preyner, w marcu 1981, lecz 24–27 XII 1980.

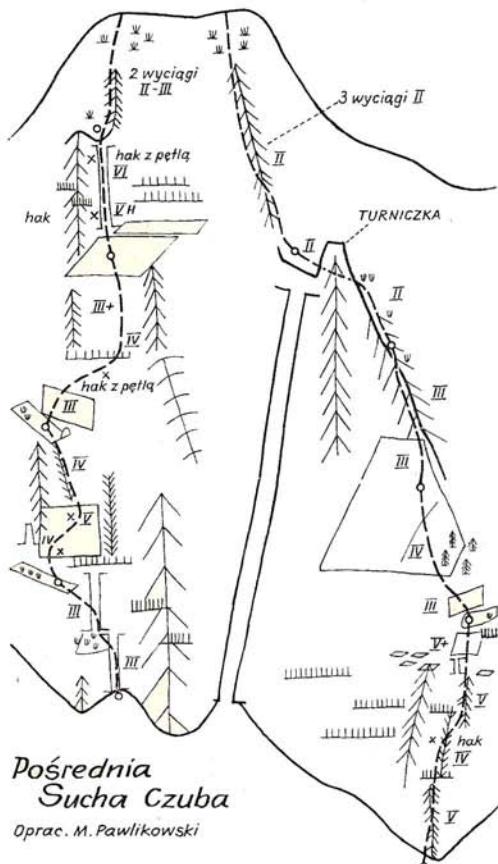
Raptawicka Grań — uwaga do notatki A. Mar-cisza w T. 4/80 s. 179: droga lewym ograniczeniem Świecznika („lewy komin Zajaka”) została przebyta klasycznie wcześniej niż w maju 1980. W. Porębski i J. Zygmunt przeszli ją klasycznie 25 XII 1978 w 4 1/2 godziny (V+). Polećli im tę drogę A. Chruściel i S. Krawczyk, którzy przeszli ją 7 VII 1975 z własnym wariantem wyjściowym (V+).

Kazalnica — droga Długosza: M. Pawlikowski i K. Żurek 26 II 1982 (w 13 godzin).

Kazalnica — droga Chrobaka i Heinricha: M. Pawlikowski i Z. Winiarski. 7–8 III 1982.

MACIEJ PAWLIKOWSKI

Odkrycie Suchych Czub Kondrackich



Suche Czuby w głównym grzbiecie Tatr Zachodnich interesowały mnie od dość daw-na, ale dopiero jesienią 1982 r. znalazłem partnerów, którzy zechcieli mi tam towarzy-szyć. Dziwi mnie, że dotychczas tak niewielu taterników zwracało uwagę na ten rejon, mi-mo iż jest on „na widoku” (np. z Giewontu) i leży w pobliżu turystycznych szlaków. Przed nami na północnej ścianie Pośredniej Suchej Czuby miały miejsce dwie próby wspinaczkowe, obie zakończone po pierw-szym wyciągu. Informacje, które posiadałem, skonsultowałem z Witoldem H. Paryskim, któ-ry też „zatwierdził” wysokości przeze mnie zaproponowane. Efektem mego zainteresowa-nia tą okolicą są dwie nowe drogi na najwy-bitniejszej w całym murze Pośredniej Suchej Czuby — nie natknęliśmy się na nich na żadne ślady poprzedników. Minionej zimy przybyła tam trzecia droga — Zbigniew Młynarczyk przeszedł 1 lutego 1983 komin (V, A2).

I. Lewą częścią północnej ściany: Anna Kierpiec i Maciej Pawlikowski 15 IX 1982. Trudności VI, 4 godziny.

Północna ściana Pośredniej Suchej Czuby opada do Doliny Suchej Kondrackiej prawie 200-metro-wym urwiskiem, którego podstawa ma przebieg ukośny. W środkowej części widać olbrzymi ko-min, przecinający ścianę lekko skośnie w prawo — aż do 2/3 jej wysokości. Początek drogi ok. 40 m na lewo od zatoki leżącej u podstawy owego komina — z mniejszej zatoki piargów porośniętej bujną roślinnością. Kruchą trawiastą rynną, po kilkunastu metrach skręcającą w lewo, wchodzimy na koniec trawiastej półki. Stąd w górę przez eksponowaną ściankę (IV) z lekkim trawersem w prawo (V) do mokrego zacięcia (V), którym w górę na prawy koniec ukośnej półki. (Na ścianie pozostały 2 haki z pętlami). Z końca pół-



Suche Czuby Kondrackie widziane z Giewontu — w tle Kopy Liptowskie i grupa Krywania. 1. Czuba Goryczkowa (1913 m); 2. Wielka (Wysoka) Sucha Czuba (ok. 1870 m); 3. Pośrednia Sucha Czuba (ok. 1850 m); 4. Mała Sucha Czuba (ok. 1840 m). Strzałki wskazują obie drogi Macieja Pawlikowskiego.

Fot. Józef Nyka

ki obok niży przez ściankę skośnie w prawo (III) pod przewieszkę (hak) i prosto w górę na płyty (IV-III) do podstawy komina. Komin ten po lewej ograniczony jest filarkiem, a po prawej — żółto-zielonymi okapami. Dnem komina (V H) w górę w pewnej skale pod siodełko (VI, zostawiony hak z pętlą). Wchodzimy na siodełko z koso-drzewiną i dalej kilka metrów przez krzewy, a następnie niewybitnym filarkiem jeszcze 2 wyciągi na szczyt (II).

II. Prawym filarem północnej ściany: Krzysztof Niechciałkowski i Maciej Pawlikowski 19 IX 1982. Trudności V+, 2 1/2 godziny.

W prawej części północnej ściany Pośredniej Suchej Czuby wyodrębnia się wybitny filar, którego skały schodzą najniższej do Doliny Suchej Kondrackiej. Jego wysokość wynosi ok. 220 m. Z najniższego punktu ostrogi stromym żeberem w górę przez niewielką przewieszkę do zacięcia (hak). Z zacięcia na żeberko po prawej i w górę pod ściankę (łatwo w lewo?). Przez ściankę prosto w górę (V+) na trawiastą półeczkę. Z niej lekko skośnie w górę (III) obok uschniętych drzewek na płyty (IV). Dalej w górę rozplaszczonym filarem stosunkowo łatwo na przelączkę za wybitną turniczką w 2/3 wysokości ściany. Od lewej na przelączkę wyprowadza wielki komin ze środkowej części północnej ściany. Z przelączki skalisto-trawiastym terenem (II) jeszcze 3 wyciągi na szczyt.

Od Redakcji. Dorzucimy przy okazji parę informacji o tym nie tylko wspinaczkowo interesującym rejonie. Suche Czuby należą geologicznie do tzw. wyspy krystalicznej Goryczkowej i zbudowane są ze skał jądra krystalicznego jednostki Giewontu. Są to — mimo iż w głębi zalegają skały osadowe — granity czy, ściślej, granitoidy, przypuszczalnie powstałe przez przeobrażenie starszych skał łupkowych. Głęboko wcięte szczyrbiny powstały w strefach uskóków. Jako pewna anomalia geologiczna, rejon ten już sto lat temu przyciągał geologów, którzy też głównie po nim chodzili, a nawet wspinali się (łatwiej-

sze drogi przechodził np. prof. Jan Burchart z towarzyszami na przełomie lat 1950/60). Nazwa „Suche Czuby” pojawiła się w latach międzywojennych — w nawiązaniu do Suchej Doliny Kondrackiej, która dawniej zwana też była Doliną Pustą. Pomiary austriackie z lat 1876-80 dały dla Pośredniej Suchej Czuby wysokość 1832 m, dla Wielkiej (?) — 1881 m, co na mapie 1:75 000 błędnie powiązano z nazwą Czuby Goryczkowej. Południową stroną grani wiedzie ścieżka turystyczna, zaprojektowana w r. 1936, zbudowana w latach 1970-71. Dodajmy jeszcze, że w Dolinie Suchej Kondrackiej rośnie pierwotny bór świerkowy z dobrze zachowaną klimatyczną górną granicą świerkowo-jarzębinową, wnioskującą w zarośla kosodrzewiny, jest to więc rejon o ostrym reżimie ochronnym. (jn)

NIGDY BEZ KASKU

Czerwcowe zeszyty kilku pism alpinistycznych przyniosły alarmujące ostrzeżenia, by nie ulegać nowej modzie wspinania się bez kasków. Wylan-sowano ją na Zachodzie w skałkach, przenika już jednak także w Alpy. Pit Schubert z Sicherheits-kreis DAV stwierdza, że o ile w ostatnich latach w górach RFN notowano rocznie przeciętnie 1 cięższy uraz głowy spowodowany wspinaniem się bez kasku, o tyle w r. 1982 zanotowano już 10 tego typu wypadków, w tym aż 5 śmiertelnych. Podobny sygnał znajdujemy w angielskim piśmie „Climber and Rambler” (6/1983): w Anglii i Walii (z wyłączeniem południowej części tego kraju) statystyka za r. 1982 podaje 17 cięższych kontuzji głowy, przy czym w 12 przypadkach poszkodowani nie używali kasków.

Zadni Gierlach 1944

W nocy z 9 na 10 października 1944 r. w wierzchołkowej partii Zadniego Gierlachu rozbił się samolot radziecki, wiozący z Krosna żołnierzy II Czechosłowackiej Brygady Spadochronowej, mających włączyć się do Słowackiego Powstania Narodowego. Zginęło 24 ludzi, Słowaków i Rosjan, których ciała zebrano w r. 1946 i pochowano w Gierlachowie na Spiszu. Jedno ze śmigieł umieszczono nad tablicą pamiątkową na cmentarzu pod Osterwą. Ogólnie wiadomo, że na szczątki samolotu natknęli się pierwsi taternicy polscy, Tadeusz Orłowski (dziś profesor i sekretarz PAN) oraz Danuta Schiele (-Semańeni). W „Vysoké Tatry” 5/1982 (s. 22) zaprzeczył temu Ivan Bohuš, stwierdzając, że pierwsi na miejsce katastrofy dotarli 18 września 1945 r. czterej taternicy czeszy z HO KČST Náchod, którym dzień wcześniej grupa Polaków w Dolinie Wielickiej zwróciła uwagę, że w masywie Gierlachu coś się w słońcu błyszczy. „W ustnych relacjach — pisze Ivan Bohuš — udział Polaków uległ stopniowemu wyolbrzymieniu i wypaczeniu.”

Tymczasem u nas relacje nie były ustne, lecz pisemne. Wiadomość zamieścił „Taternik” 2—3/1947 na s. 59—60, rozwinął ją w obszernej notatce w r. 1965 partner i przyjaciel prof. Orłowskiego, Witold H. Paryski w 12 tomie „Tatr Wysokich” (s. 30), dodając informację, że „dalsze szczątki tego samolotu znaleziono potem również i po drugiej stronie południowo-wschodniej grani Zadniego Gierlachu, w żlebie zbiegającym z Przełęczy Tetmajera ku Dolinie Wielickiej.”

O słowo wyjaśnienia zwróciliśmy się w tej sprawie do samego prof. Orłowskiego. W swoich zapiskach z r. 1945 bez trudu znalazł on datę 18 sierpnia 1945 r. Z biwaku w Dolinie Kaczej wraz z Danutą Schielele przeszedł tego dnia drogę Komarnickich (WHP



Na miejscu katastrofy 18 września 1945 r. — Jan Masopust z działkiem pokładowym.

Fot. Josef Ungur

1620) na północno-zachodniej ścianie Zadniego Gierlachu. Już w żlebie w górnej części drogi uwagę wspinaczy zwrócił duży arkusz blachy aluminiowej. Mógł on się tam dostać tylko od góry. Gdy zbliżali się do szczytu, rozglądali się więc ciekawie. Rozrzuczone na znacznej przestrzeni leżały po stronie Doliny Batyżowieckiej części samolotu oraz zmasakrowane ciała ludzkie. Teren był zupełnie łatwy i prof. Orłowski zszedł do miejsca katastrofy. Na jednym z elementów widać było dobrze czerwoną gwiazdę, również mundury ofiar wyraźnie wskazywały na ich pochodzenie. Widząc, że i Danuta podążyła w jego ślady, zawołał do niej, by nie zbliżała się, gdyż „jest tu pełno trupów”. Pamięta do dziś jej odpowiedź: „Co mi tam o trupach mówisz, wiesz przecież, że mam za sobą powstanie warszawskie.”

Bawiąc na Słowacji nie całkiem legalnie, prof. Orłowski zawiadomił o znalezisku przyjaciół słowackich, Slavę Cagašika czy też Štefana Kovalčika, którzy z kolei złożyli meldunek władzom. Tak wyglądają fakty i nie ma powodu, by je rewidować.

Józef Nyka

JACEK KOLBUSZEWSKI

Sezon w Tatrach i po sezonie

Maria Kalota-Szymańska: *Sezon w Tatrach i po sezonie*. Gdańsk 1981 s. 70, Wydawnictwo Morskie, cena zł 15. — Aleksander Wojciechowski: *Tatrzańskie, 1954—1978*. Poznań 1982, s. 78, Wydawnictwo Poznańskie, cena zł 30.

Marian Sokołowski uważał w r. 1924 „możliwość istnienia poezji taternickiej” za nie wymagającą specjalnej argumentacji i postulując — w imię podniesienia kulturowych wartości taternictwa — jej stworzenie, bardzo się dziwił, że „z całej plejady duchów obdarzonych talentem poetyckim nie znalazł się dotąd ani jeden, który by sięgnął do tej nieprzebranej skarbnicy i stworzył rzecz arcypiękną i — arcynową.”

Uwagi Sokołowskiego „O istocie i drogach rozwoju nowoczesnego taternictwa” wzbudziły niemałe zainteresowanie, ale te jego sugestie przeszły bez echa. Na tle bogatego dorobku literatury o Tatrach, tradycje „poezji taternickiej” jawią się wręcz uboga, wiążą z niewielką liczbą nazwisk i jeszcze mniejszą ilością godnych uwagi tekstów, spośród których do tej pory naprawdę wyróżniała się tylko ekspresjonistyczna „Pieśń o czekaniu” (1931) Anny Ludwiki Czerny.

Niemal równoczesne ukazanie się w r. 1982 zbiorów wierszy taternickich Marii Kaloty-Szymańskiej i Aleksandra Wojcie-

chowskiego jest więc wydarzeniem godnym uwagi, tym większej, że coraz częściej mówi się ostatnio o kryzysie kulturotwórczych wartości taternictwa, a zauważyć warto, że obie te książki należały w ubiegłym roku do najbardziej poszukiwanych i zafascynowały nie tylko taterników. Ale bo też mowa tu o dwóch bardzo dobrych, bardzo zresztą od siebie różnych, zbiorach poezji.

Maria Kalota-Szymańska wydała w r. 1964 tomik „Sezon w Tatrach” — teraz zaś, po latach, dopisała do niego część drugą („Po sezonie”) i ogłosiła całość, zderzając ze sobą dwa różne widzenia Tatr: owo dawniejsze, pełne zdobywczej pewności, z tym późniejszym o lata, pełnym pokory i żalu za minioną przeszłością, ale też pełniejszym i głębszym o samowiedzę wyniesioną i z gór, i z upływu lat. Powtórzenie wierszy z „Sezonu w Tatrach” nie jest tu jednak tylko mechanicznym przedrukiem; utwory z różnych okresów spinają w jednorodną całość kłamry „Prologu” i „Epilogu” wyraźnie mówiące, że choć przez lata zmienił się człowiek wchodzący w góry i góry też się zmieniły, to jednak jest to ten sam człowiek i są to te same góry, inne są tylko formy bytowania w tej jedynej, najprawdziwszej górskiej ojczyźnie. Maria Kalota-Szymańska dotyka przy tym najważniejszych spraw związanych z człowiekiem obcowaniem z górami, zwracając uwagę zarówno na to że są one przedmiotem różnych ludzkich mówień jak i na to że dają człowiekowi możliwość zobaczenia siebie „we właściwym wymiarze człowieczego bytu”. Co przy tym ciekawe, poetka nie zrezygnowała z prób zmierzenia się z „tradycyjnymi” tematami poezji tatrzańskiej, odnosząc rzeczyste sukcesy artystyczne w takich wierszach, jak „Halny” i „Ich czas jest inny”. Najciekawsza jednak i najbardziej wartościowa jest w tym zbiorze

rze „dwoistość” widzenia tych samych faktów i zjawisk, obserwowanych raz z perspektywy zdobywczej aktywności, drugi — pod kątem niemożności powtórzenia dawnych wyczynów.

Oglądem przestrzeni rzadzi tu czas. Ten sam element czasu całkiem inaczej został wykorzystany w poezji Aleksandra Wojciechowskiego, również, jak Kalota-Szymańska, taternika, spoglądającego na Tatry z perspektywy taternickiej. Tu wyjaśnienie każdorazowej „inności” gór wpisane jest w aprioryczną niemal pewność, że siebie samego powtórzyć nie można. W tej interpretacji taternictwo staje się zdobywaniem wiedzy o sobie, będąc zarazem budowaniem poczucia jedności z innymi ludźmi gór. Wojciechowski operuje innym językiem niż Kalota-Szymańska, jest bardziej powściągliwy w ekspresji uczuć — lecz jest tak samo jak Kalota-Szymańska współczesny. A przecież i on nie kryje swego umiłowania gór i zwraca uwagę na ich niemal obsesyjną obecność w życiu taternika i (tak samo jak Kalota-Szymańska, choć inaczej) wskazuje na ich niepowtarzalną ważność.

Oba te zbiory dają poetyckie świadectwo współczesnego rozumienia gór (zwracam uwagę na „Epilog” Kaloty-Szymańskiej i „Góry” Wojciechowskiego) i wspinaczki, oba zawierają wiersze interesujące i piękne. Wyrażone w nich podobieństwa postawy (przy inności poetyckich języków) wynikają z przyjęcia podobnie taternickiej perspektywy widzenia Tatr i podobnego rozumienia wartości taternictwa. I już dziś można powiedzieć, że jako te świadectwa naszej współczesności oba zbiory wierszy wejdą do historii literatury o Tatrach i taternictwie, dowodząc, że kryzys kulturotwórczych wartości taternictwa jest tylko jednym z aspektów naszej tatrzańskiej współczesności.

PIT SCHUBERT

O bezpieczeństwo wspinaczki w lodzie

Alpy Walijskie, lato 1976. W północno-wschodniej ścianie Lenzspitze wspina się jakaś dwójka. Widać, że dobrzy alpinści. Ich tempo jest równe i szybkie, a raki przy każdym kroku chwytają się lodu. Ale oto zjawia się chmurka i przesłania szczyt. Gdy po kwadransie znika, nie ma już na ścianie obu wspinaczy. Wykluczone, ażeby w tym czasie zdołali dojść do wierzchołka. A może coś się stało? Ależ tak, miły Boże — pod ścianą leżą bez ruchu dwa ciemne kształty. Niedługo zjawia się helikopter i przewozi ciężko rannych do szpitala w Visp. Niestety, 300-metrowy upadek był zbyt duży — nie uda się ich już uratować. A jaki był powód tragedii? Ano, zwyczajne zaufanie do ogólnie stosowanych środków bezpieczeństwa w lodzie.

Wypadek autentyczny, jeden z wielu podobnych, choć nie wszystkie kończą się tak smutno. Bo też prawdą jest, że jeszcze rok temu serdecznie mało wiedzieliśmy o faktycznej efektywności asekuracji stosowanej na ścianach lodowych. Jakie obciążenie wytrzyma śruba rużkowa a jakie „korkociąg”? Jak wpływa jakość lodu na pewność punktów asekuracyjnych? Czy można w lodzie ryzykować odpadnięcia, czy też przy większym locie zęgnąć się z życiem? Wytwórnice sprzętu skąpiły danych wytrzymałościowych, a określenia w katalogach były ogólnikowe i bardziej literackie, aniżeli techniczne.

W tej sytuacji Zespół Bezpieczeństwa (Sicherheitskreis) Deutscher Alpenverein wspólnie ze szkołą instruktorów wojskowych przeprowadził szeroko zakrojone (i koszt-



Różne typy śrub lodowych po testach. Od lewej: 3 śruby Salewa-Ultra; 2 zwykłe śruby Salewa; 4 śruby Chouinarda (1 pękła z powodu utajonej wady materiału); 1 radziecka śruba tytanowa; 2 rurki Camp i 2 rurki Simonda. Dolny szereg: 1 snarg Lowe; 1 snarg Camp; 2 snargi Elite; 2 półrurki Stuba; 2 spirale Camp; 3. wkrety Simonda; 2 Marwy; 1 tradycyjny wycior lodowy z kółkiem.

Fot. Sicherheitskreis

towne!) badania śrub i haków lodowych, a także metod asekuracji w lodzie, spędzając ok. 3 tygodni na lodowcach Argentiére, Rettenbachferner i Sonnblickkees. Próbowo poddano przeszło 300 haków i śrub lodowych niemal wszystkich dostępnych na rynku typów, przeprowadzono też dziesiątki doświadczeń ze sposobami wbijania ich w lód i zakładania stanowisk. Aby wyniki sprawdzianu jak najbardziej uwiarygodnić, poprosiliśmy Referat Bezpieczeństwa Oesterreichischer Alpenverein o przeprowadzenie niezależnych badań kontrolnych. Objęły one ok. 70 śrub i haków, w całości potwierdzając nasze wnioski.

Realizując testy, staraliśmy się symulować rzeczywiste sytuacje w ścianie. Poszczególne śruby i haki były obciążane quasi-dynamicznie — za pośrednictwem wielokrażka naciąganego przez 4–6 osób zbiegających po stoku, lub też dynamicznie — za pomocą masy 75 kg ześlizgującej się na sankach. Próby przeprowadzaliśmy w lodzie „średnio dobrym” ($0,7\text{--}0,8\text{ kg/dm}^3$). Przy ocenie poszczególnych modeli jako wymaganie standardowe przyjęto utrzymywanie obciążeń rzędu 1000 kG (kp), gdyż takie mniej więcej siły — wliczając 33% rezerwy bezpieczeństwa — mogą wywiązać się w hakach przelotowych przy upadku prowadzącego.

Wyniki były zaskakujące dla nas samych. Na 17 zbadanych modeli, tylko 7 mogliśmy uznać za godne polecenia. Resztę trzeba było zdyskwalifikować — z różnych powodów: błędów konstrukcyjnych, wad materiałowych, zbyt niskich parametrów wytrzy-

małościowych w lodzie. Niektóre modele okazały się tak złe, że przy obciążeniach rzędu 500 kG, a więc o połowę niższych od wymaganych, łamało się 25–35% testowanych egzemplarzy! Tak np. amerykańska wytwórnia „Lowe” produkuje snarg, którego wytrzymałość określiliśmy na 1000–1100 kG. Ten sam jednak model, produkowany w nieco zmienionym kształcie konstrukcyjnym przez włoski „Camp” okazał się niezwykle łamliwy: na 14 poddanych testom egzemplarzy, 11 złamało się przy obciążeniach w granicach 700 kG.

Ustalono, że moc tkwienia śruby lodowej zależy głównie (choć nie wyłącznie) od jej grubości i długości. Im grubsza i dłuższa jest rurka, tym większa niezawodność punktu asekuracyjnego. Oto śruby rurowe zakwalifikowane przez nas jako godne rekomendacji — długości w cm i otrzymywane obciążenia w kG (kp):

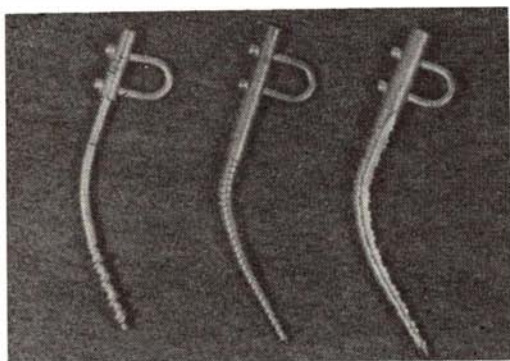
rurka Salewa-Ultra	17 cm	1150–1300
	22 cm	1400–1600
	28 cm	1450–1700
rurka Salewa	25 cm	1200–1500
	35 cm	1300–1600
	17 cm	1200–1300
rurka Chouinarda	22 cm	1300–1500
	28 cm	1600–1750
	18 cm	1350–1400
rurka tytanowa (ZSRR)	30 cm	1100–1300
snarg Lowe	23 cm	1000–1100
snarg Elite	26 cm	1000–1100

Ogólnie biorąc, zalecamy używanie śrub rurowych i snargów. Wybierając model, warto zwrócić uwagę na ostrość uzębienia, od czego zależy łatwość i szybkość osadzenia śruby. Natomiast generalnie odradzamy

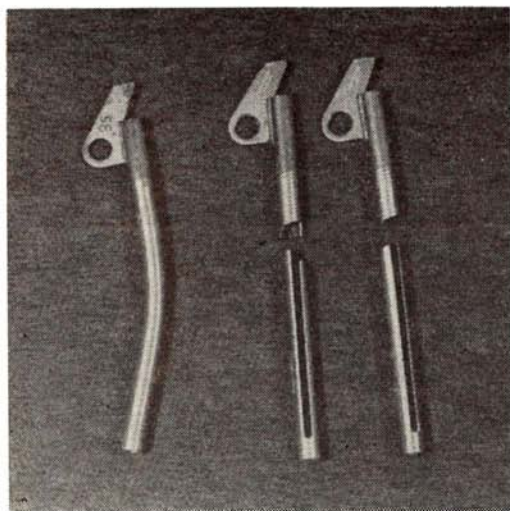
używania tzw. korkociągów, spiral lodowych oraz wszelkich wkretów o kształtach konicznych (stożkowych), które przy osadzaniu kruszą lód, a przy szarpnięciu łatwo wyskakują. Tradycyjne wyciory lodowe z kółkami, którym tak ufaliśmy jeszcze 10 lat temu, wypadły przy próbach bardzo źle, wytrzymując szarpnięcia zaledwie 100–300 kG.

Nasze doświadczenia przyniosły też kilka bardzo istotnych ustaleń odnośnie metod asekurowania się. Wynika z nich, iż wiele też podręcznikowych trzeba będzie poddać rewizji.

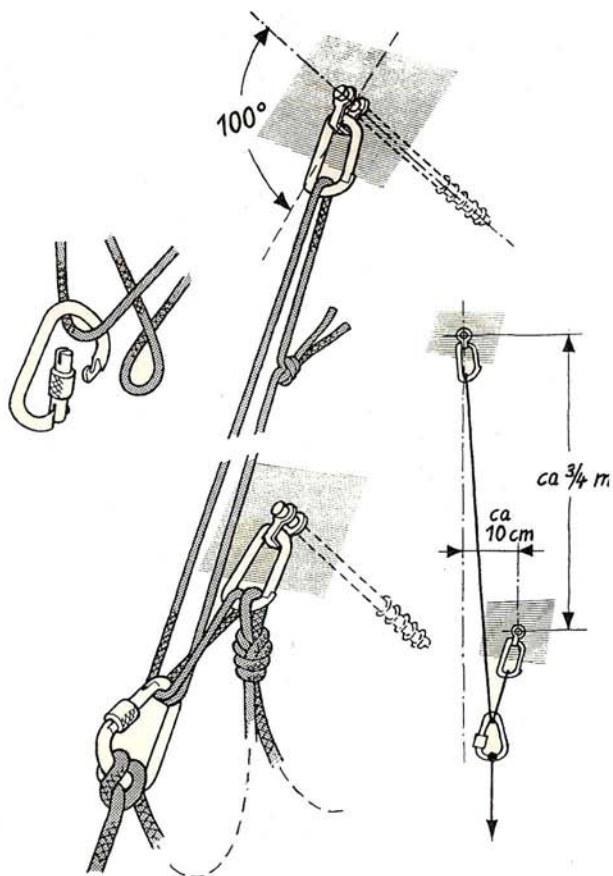
Pod jakim kątem w stosunku do stoku należy osadzać śrubę lodową lub hak? Podawana dotąd w literaturze wartość 120–135° nie uzyskała praktycznego potwierdzenia. Po seriach prób okazało się, że haki i śruby tkwią najmocniej, gdy osadzone są pod ką-



Trzy różne wkrety Simonda — nie nadają się one do asekurowania w lodzie, natomiast bardzo dobrze spisują się np. w tatrzańskich trawkach.



Snargi: z lewej bardzo dobry oryginalny snarg „Lowe”, z prawej bezwartościowe kopie firmy „Camp”.



Prawidłowy trójkąt sił na stanowisku w ścianie lodowej.

Rys. Sepp Lassmann

tem 90°. Ponieważ w praktyce kąt taki trudno jest utrzymać, a każde jego zmniejszenie jest niekorzystne, radzimy wbijać śruby pod kątem 95–100° (90 + 5–10°). Kąt ten obowiązuje dla wszystkich typów śrub i haków lodowych, i to zarówno dla kierunku „w dół” jak i „w górę”. Długość śrub ograniczać się może do 28 cm. Dłuższe niż 30 cm polecane są dla gorszego lodu, my jednak uważamy, iż kruchy lód należy zrywać, a jeśli zalega on i głębiej — stosować inne rodzaje asekurowania.

Chciałbym tu też zwrócić uwagę na błędność powszechnego przekonania, że krótszy czy w ogóle słabszy hak (śruba) nadaje się na punkt przelotowy, dłuższy natomiast — na stanowisko. Tymczasem jest odwrotnie: jeśli stosuje się asekurowanie dynamiczne, a tylko taka ma sens w lodzie, przy odpadnięciu wspinacza punkty przelotowe otrzymują obciążenia 2–2,5 raza większe, niż stanowiskowe, i dlatego właśnie haki na wyciągu muszą być niezawodne. Przy dobrym lodzie, dobrej śrubie i asekurowaniu półwiblinką można stanowisko ograniczyć do

1 punktu. W sytuacjach wątpliwych bądź też przy zwiększonym ryzyku (np. pod przewieszką) osadzamy na stanowisku 2 śruby (snargi, haki) i łączymy je pętlą w „trójkąt sił”. Nowością w stosunku do dawniejszej „szkoły” będzie to, że śrub nie umieszczamy na jednym poziomie, lecz w odległości ok. 75 cm jedna nad drugą — z przesunięciem względem siebie o 10–15 cm w linii poziomej. Wówczas obciążenie obu punktów jest najkorzystniejsze, zresztą nie tylko w lodzie ale i w skałe (zob. rysunek). Uwagi powyższe nie są jednakże zachętą do lekceważenia jakości stanowiska. Przeciwnie: jeśli zawiedzie hak przelotowy, nie oznacza to jeszcze katastrofy — zawieść nie może natomiast stanowisko.

I jeszcze jedna sprawa. Mówiąc wyżej o kiepskim lodzie (a tym bardziej dotyczy to firnu), wspominałem o konieczności stosowania innych rodzajów asekuracji. Mam tu na myśli przede wszystkim metodę kotwy (T-Verankerung, Toter Mann), polegającą na wkopaniu w firn na co najmniej 50 cm ułożonego w poprzek stoku i oplecionego pętlą czekana, młotka, plecaka lub jakiegś części ubrania. Wyprowadzone na powierzchnię, wcięte w firn cięgiem stanowi punkt asekuracyjny, wytrzymujący działanie sił

rzędu 300–500 kG (przy plecaku nawet 500–700 kg). Mając pewną wprawę, zakłada się takie stanowisko w ciągu 1 minuty. Pamiętać zaś trzeba koniecznie, że pospolicie stosowane ubezpieczanie z czekana wbitego w firn zawodzi już przy obciążeniach 50–150 kG, nie może więc być żadną miarą polecane.

Wolny przekład: J. Nyka

Od Redakcji. Już po przygotowaniu numeru „Taternika” otrzymaliśmy od kolegów z Sicherheitsreferat OeAV wyniki ich prac kontrolnych, które wnoszą pewne dodatkowe ustalenia. Tak np. testowali oni śruby i haki osadzając je w lodzie dwójakiej jakości: „złym” (06–0,7 kg/dm³) i „dobrym” (0,8–0,9 kg/dm³). Ujawniła się przy tym bardzo duża zależność wytrzymałości punktów asekuracyjnych od tego, czy mamy do czynienia z firmem, czy lodem bliskim szklistego (wodnego, 0,92 kg/dm³). W lodzie „złym” uzyskiwano tylko 50%, a przy niektórych typach śrub (np. stożkowych) zaledwie 30% tych wartości, jakie notowane były przy lodzie „dobrym”. Stosunkowo najlepiej spisywały się tu śruby rurkowe Salewa-Ultra 22 cm długości (800 kG) oraz snargi Lowe (700 kG), wszystkie inne modele ze zlego lodu wyskakiwały przy obciążeniach mniejszych niż 400 kG. Austriacy zalecają osadzanie na wy ciągu pierwszej śruby przelotowej 8 m nad stanowiskiem, co nam się wydaje odległością zbyt znaczną. W końcu czerwca 1983 r. OeAV i DAV urządziły w Alpach sympozjum poświęcone środkom bezpieczeństwa przy wspinaniu się w lodzie — miano na nim uzgodnić ostateczne wnioski, które nie są nam jednak do tej pory znane.

JÓZEF NYKA

Alpy — idee, sensacje, rekordy

Zadurzeni w Himalajach, straciliśmy z oczu nasze Tatry, a od paru lat zaniedbujemy także rodzime — bo europejskie — Alpy. Grupa polskich gości tam co prawda kilka lub kilkanaście w ciągu roku, ludzi około setki, lecz programu sportowego brak a i do wyników nikt nie przywiązuje większej wagi. Sytuacja niezdrówka, wszak na drodze z Tatr w Himalaje etapu alpejskiego przeskoczyć się nie da, są też Alpy ciągle jeszcze kolebką nowych prądów i idei, wywierających wpływ na ewolucję alpinizmu w innych górach świata. Poświęćmy więc chwilę uwagi temu, co aktualnie dzieje się na ich ścianach i przedpolach, by wypełnić przynajmniej informacyjną lukę i naszkicować tło do oceny własnych dokonań.

GABARROU, PIOLA I INNI

W kolejnych kronikach sezonów przeczytać można, iż w Alpach wyczerpały się już definitywnie skalne i lodowe problemy. Nie jest to jednak prawda, nawet w odniesieniu do najpopularniejszych ścian. Można przyjąć, że na obszarze całych Alp przybywa w ciągu roku 100–150 poważniejszych dróg, nie licząc paruset rozwiązań w rejonie intensywnie obecnie eksplorowanych

przedgórzy (ze ścianami bądź co bądź do 500 m wysokości!). Patrick Gabarrou, Michel Piola, Pierre-Alain Steiner — to główni bohaterowie ostatnich sezonów. Piola ma 23 lata, lecz dorobił się już dróg na wielu słynnych ścianach, z Eigerem i Matterhornem łącznie. Latem 1982 w samym tylko masywie Mont Blanc rozwiązał 10 ważniejszych problemów. Duże możliwości stoją otworem w Alpach Szwajcarskich, gdzie zdarzają się jeszcze „odkrycia” całych dziewięćdziesięciu ścian. Oto kilka nowych dróg z alpejskiego lata 1982:

Mont Blanc — hyper couloir du Brouillard (700 m kaskad lodowych na prawo od filarów): P. Gabarrou i P.-A. Steiner 13–14 maja, VI, 20 godzin.

Mont Gruetta — nowa klasyczna droga wschodnią ścianą: Laura Ferro i U. Manera 18–19 lipca.

Grand Capucin — południowo-wschodnim filarem: M. Piola i P.-A. Steiner 18–19 lipca, odcinki VI i VII. Opinia autorów pierwszego powtórzenia: „Z pewnością najpiękniejsza i najtrudniejsza droga skalna w masywie Mont Blanc.” Drogi nie należy mylić z drogą Pioli, Steinera i Voglera z sierpnia 1981.

Mont Blanc — direttissima filara Freney (na lewo od Długosza): J. Bardill, M. Piola i P.-A. Steiner 10–12 sierpnia, VI+.

Finsteraarhorn — pierwsze w ogóle przejście 700-metrowej ściany południowo-wschodniej: W. Colonna i P. Gabarrou.

PIERWSZE PRZEJŚCIA ZIMOWE



Takie ściany czekają jeszcze tu i tam na zdobywców — Finsteraarhorn od południowego wschodu, droga Colonna i Gebarrou. Reprodukacja z „La Montagne” 4/1982.

Petit Dru — direttissima francuska na zachodniej ścianie: M. Bruehl, H. Giot, Ch. Profit i H. Sachet 21 lipca — 21 września (w 6 „tentatives”).

Grosshorn — nowa droga 1000-metrową ścianą północną: Jugosłowianie Z. Drobnic, R. Kovač i J. Skok 4 października.

Odnajdujemy tu też dużej klasy nową drogę poprowadzoną na schyłku minionej zimy: w 13-dniowej samotnej wspinaczce od 21 marca do 2 kwietnia 1983 „Pająk” Pavel Pochyly przeszedł „directissimę idealną” północnej ściany Eigeru, w linii prób swoich ziomeków. Jest to trzecia już droga czechosłowacka na tym sławnym urwisku.

Amatorów wspinaczki zimowej zawsze było w Alpach mniej, ale i tu wyniki są ciekawe. Pierwsze przejścia zimowe otrzymują drogi z ostatnich sezonów (rzadko czekają one dłużej niż rok czy dwa), wyszukiwane są okresowo powstające ścieki lodowe, wreszcie drogi przeoczone dotąd przez zimowców. W Alpach Francuskich ostatnim sezonem zimowym ton nadawali żołnierze stacjonującej w Chamonix „kompanii wysokogórskiej” (była taka niegdyś w Tatrach) czyli Groupe Militaire de Haute Montagne (GMHM). Jak wynika z zestawień sporządzonych dla nas przez Tadeusza Wowkonowicza, zimą 1982—83 pierwsze przejścia otrzymały m.in.:

Matterhorn — droga Piola na Zmuttnase: D. Anker z 2 towarzyszami 25—31 grudnia 1982.

Drus — zapomniana a wspaniała zimą droga braci Lesueur (z r. 1953) na północnych ścianach: A. Parkin i T. Renault 10—13 stycznia 1983.

Mont Blanc — hyper couloir du Brouillard: E. Escoffier, Ch. Profit i P. Royer 12 stycznia (w 9 godzin!).

Grandes Jorasses — Calun, zimą przebywany wielokrotnie, tym razem jednak dorobiono 350-metrowe wyprostowanie: H. Sachet i J. D. Segnier 21 i 22 stycznia.

Mont Blanc — filar Dérobé du Freney: E. Escoffier, A. Estève i P. Royer 23—24 stycznia.

Petit Dru — droga T. Grossa na zachodniej ścianie: Jugosłowianie J. Sabolek i J. Skok 6—10 marca.

Zupełnie spowszedniało w Alpach wspinanie samotne — notowane są już tylko najwybitniejsze premiery. W alpinizmie kobiecym pałeczkę przejęły ostatnio Czeszki i Słowaczki. Tak np. 3 lutego 1982 Zlatica Podhorská (notabene znana mistrzyni skałkowa) dokonała pierwszego w zimie przejścia solowego (!) Couloir du Diable Mont Blanc du Tacul, zaś Zuzana Hofmanová i Alena Stehliková zrealizowały 11—14 lutego 1982 pierwsze w ogóle zimowe przejście głośnej drogi angielskiej na północno-wschodniej ścianie Piz Badile. „Wielki wyczyn i niewątpliwie ważna data w historii alpinizmu” — skomentował francuski kronikarz, Claude Deck.

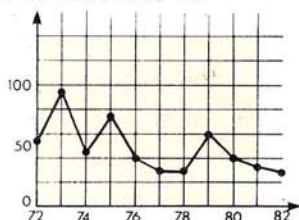


Z lewej Michel Piola, z prawej Patrick Edlinger, francuski mistrz skały. Zdjęcia z „Montagnes” i „Alpinisme et Randonnée”.

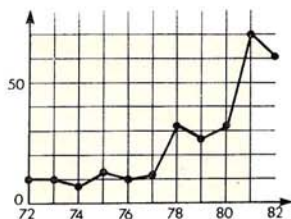
Komisja Tatrzańska PZA sygnalizuje od paru lat przesuwanie się zainteresowań taterników z solidnych dużych dróg na wspinaczki nieomal skałkowe — na Mnichu, Zabim Mnichu, Zamarłej Turni. Obserwacje z Alp pozwalają uznać, że jest to zjawisko szersze. Oto notatka na ten temat przygotowana w oparciu o „La Montagne” 1/1983 przez red. Helenę Sławińską:

Elisabeth Voltolini ze schroniska Envers opracowała statystykę przejść 30 dróg na wschodnich i południowych ścianach Aiguilles de Chamonix w latach 1972–82. Przedstawiamy tu dwa z ilustrujących jej prace wykresów (w poziomie lata; w pionie osoby):

• La face est de l'aiguille du Grépon. Première ascension le 19 août 1911 par G.-W. Young avec J. Knubel et autres; difficulté de l'escalade D.



• La face sud de l'aiguille du Fou. Première ascension les 25 et 26 juillet 1963 par T. Frost et autres; difficulté de l'escalade ED.



Już te przykłady potwierdzają dwie wyraźne tendencje dominujące obecnie w Alpach. Coraz mniej zwolenników mają duże klasyczne drogi na ważniejsze szczyty, chociaż są one łatwiejsze technicznie i nie muszą być poprzedzane długimi ćwiczeniami. Zwiększa się natomiast zainteresowanie drogami o ekstremalnych trudnościach, za to krótkimi, a już zwłaszcza tymi, które zaczynają się w pobliżu schronisk i które pokonuje się w trzewiczkach wspinaczkowych, a kończy zjazdami. Drogi takie dostępne są dla wspinaczy znakomicie wyszkolonych i wymagają regularnych treningów. Cieszy, oczywiście — pisze „La Montagne” — wzrost elity alpinistycznej, niepokoi jednak równocześnie gwałtowne załamanie się zainteresowań przejściami klasycznymi, gdyż niechęć do tego typu wspinaczki nie jest, jak się okazuje, wynikiem przejściowej mody. Sport alpinistyczny powinien być dostępny dla licznych jego entuzjastów, którzy nie mogą poświęcać wiele czasu na doskonałanie umiejętności technicznych i utrzymywanie kondycji i którzy nie uprawiają go wyłącznie dla wyczynu czy rekordu.

EIGER-NORDWAND W 6 GODZIN

Nadal trwa w Alpach redukowanie sztucznych ułatwień na drogach, ale boom odha-

czeniowy wyraźnie słabnie. W latach 1978–79 przebito klasycznie co ciekawsze drogi w Dolomitach — Pilastro di Rozes, Vinatzera na Torre di Valgrande, drogi Philippa i Flamma oraz Messnera na Civette, drogi Carlessa i Cassina na Torre Trieste, Comiego na Cima Grande i Cassina na Cima Ovest... Latem 1981 zespół braci Voglerów przeszedł klasycznie filar Bonattiego na Dru, z wyjątkiem 50-metrowej rysy (VI–VII). W lipcu 1982 M. Pedrini uporał się i z tym odcinkiem („20 m VII — bez odpoczynku”), D. Lacroix z towarzyszami zrobił w tym samym czasie klasyczne przejście południowej ściany Aiguille du Fou.

„Wszyscy gdzieś się spieszą, gdyby to jeszcze wiedzieli po co” — pisał kiedyś Ludwik Aszkenazy. W myśl tej maksymy trwają na ścianach Alp prawdziwe wyścigi. Mistrzami w tej konkurencji są Patrick Berhault, Ueli Bühler (partner Piotrowskiego z Nanga Parbat), Christophe Profit, Jugosłowianin Franček Knez. Wybierane są przede wszystkim znane i widoczne ściany, bowiem element reklamy jest zawsze ogromnie ważny. Latem 1979 Berhault przeszedł północną ścianę Les Droites (drogą Davaille'a) w 5 1/2 godziny, zaś drogę Bonattiego na Filarze Narożnym w 2 godziny (dwie dalsze zajęło mu dojście granią do szczytu). J.P. Frossard i J. Troillet uporali się z drogą Schmidów na Matterhornie w 4 1/2 godziny. W lutym 1982 Boivin i Berhault przeszli jako drudzy w zimie Czerwony Filar Brouillard w 3 1/2 godziny (pierwsze przejście zimowe trwało 3 dni!), zaś w dzień później — centralny filar Brouillard (I przejście zimowe) w 6 1/2 godziny. W r. 1974, w sierpniu, świat obiegła wiadomość, iż Reinhold Messner przeszedł północną ścianę Eigeru w 11 1/2 godziny. Latem 1981 tę samą drogę Kasparka zrobił Ueli Bühler w 8 1/2 godziny — z o wiele mniejszym rozgłosem. W lipcu 1982 wynik ten poprawił Franček Knez, przechodząc ścianę — zupełnie bez reklamy — w 6 godzin. Miał ze sobą 10 m liny, 3 karabinki, 2 młotki lodowe, 1 czekoladę i paczkę neapolitanek. „Na szczycie — powiedział — czułem się jak po przejściu zwyczajnej drogi, a nie słynnej Eiger-Nordwand.”

Mimo takiej rewolucji w stylu wspinania, wstrząsem dla górskiego świata był wyczyn Ch. Profita na zachodniej ścianie Petit Dru w dniu 30 czerwca 1982. Uzbrojony w młotek lodowy i torbę magnezji przebiegł on directe américaine w 3 godziny i 10 minut, witany na szczycie przez komendanta GMHM, Jean-Claude'a Marmiera. Dodać jednak trzeba, że swe przedsięwzięcie skrupulatnie przygotował, przechodząc drogę wcześniej kilka razy, studiując trudniejsze pasażę, a nawet deponując na wyjściu z partii skalnej buty, czekan i raki. W wywiadzie udzielonym magazynowi „Montagnes” (nr 50) Profit oświadczył, że nie dąży, Boże broń, do ustanawiania rekordów, lecz w

swych wyczynach próbuje „zglebić samego siebie, poznać swoje granice — tak fizyczne, jak i moralne”. Jak z tego widać, łatwiej odważyć się na solowy bieg po 1000-metrowej ścianie, aniżeli na przyznanie się, że się jest po prostu... sportowcem.

MARATONY WSPINACZKOWE

Na obrzeżach Alp od kilku lat bujnie rozwija się tzw. wspinaczka sportowa — od zrodzonego w Fontainebleau boulderingu poczynając, a na klasycznych przejściach okapów w Verdon, Frankenjura czy Paklenicy kończąc. Trudności wyrubowano do X stopnia, wydawane są deklaracje ideowe, powstają specjalne kluby i czasopisma, jak „Bouldering” w Anglii, „Bouldern” w RFN czy „Flue-Zittig” w Szwajcarii. Do zawodów typu krymskiego stosunek wspinaczy zachodnich nacechowany jest rezerwą — sztucznie podtrzymywaną przez ideologów. Mistrzowie skalnej akrobacji — Patrick Edlinger (por. T. 2/82 s. 80), Wolfgang Güllich (tamże), Kurt Albert, Jürg von Känel — reprezentują różne nastawienia, działacze natomiast są przeciw. Ale młodzież nie stoi od przeróżnych konfrontacji, jak choćby zawody na przewieszanej ścianie o to, kto dojdzie najwyżej. Ostatnio powstała we Francji nowa konkurencja, o czym donosi nam z Paryża Piotr Paćkowski:

Współzawodnictwo tutaj polega nie na mierzeniu czasu przejścia określonej drogi, lecz na liczbie dróg pokonanych w jakiejś jednostce czasu. I tak organizowany co roku wyścig po gładkich w lesie Fontainebleau przyniósł tym razem zwycięstwo Jeanowi B. Triboutowi (w klasie dróg TD)



oraz Patrickowi Derredowi (w klasie dróg ED). Biegi te odbywają się po specjalnie wytyczonych i oznaczonych torach (circuit), z których każdy łączy po kilkadziesiąt krótkich (do 5 m) dróg. Kolor czerwony oznacza drogę ED, kolor niebieski — TD.

Zanotowano też nowe rekordy w tzw. *marathon d'escalade*. Poprzednie głośne wyczyny Edlingera i Perriera, którzy przebyli w Verdon w ciągu 1 dnia przeszło 1800 m dróg o trudnościach powyżej IV, zostały ostatnio przewyższone. Nowy rekord należy do tynkarza z Thonon, Jeana Grélosa, który w masywie Saleve wspiął się bez przerwy przez 27 godzin, powtarzając 10 razy tę samą skrajnie trudną 150-metrową drogę. W początku października 1982 poprawił on sam siebie: z różnymi partnerami wspiął się non-stop przez 25 godzin, pokonując na przemian dwie drogi VI i VI+ i dochodząc również do łącznej deniwelacji 1500 m. Grélos prowadził przez cały czas, a w noc towarzyszyły wspinacze ciemności i złe warunki atmosferyczne. „Chciałbym zainicjować współzawodnictwo — oświadczył jednej z gazet. — Wzywam do walki wszystkich, którzy zechcą poprawić mój rekord.”

NOWA MODA: ŁAŃCUCHÓWKI

Jednakże z nową drogą, wielką solówką czy ambitnym przejściem zimowym trudno już dziś trafić na czołówki gazet — trzeba wymyślić coś, czego jeszcze nie było.

Georges Bettembourg od paru lat lansuje narciarstwo... żaglowe (ski-voile) — akrobacyjne zjazdy bez kijków, za to z żaglem przypiętym z tyłu do ramion i kolan. Żagiel stabilizuje pęd i pozwala na cudowne wzloty nad szczelinami. Natomiast Roger Fillon uprawia alpinizm spadochronowy. Stosując specjalne poziome starty, dokonał cm zeskoków z Aiguille Verte (6 czerwca 1982) i z Mont Blanc (2 września), przy czym 8-kilometrową drogę w dolinę pokonywał w 20 minut. Jego spadochron ma 15 m² i waży 3 kg, a przypina się go do zwykłej uprząży wspinaczkowej. Wiosną 1983 Fillon wybrał się ze swoim spadochronem wraz z francuską wyprawą na Jannu. Próbował zeskoczyć z obozu V (7000' m), lecz porywy wiatru uniemożliwiły start.

W dniu 17 sierpnia 1981 r. Patrick Bérhault i Jean-Marc Boivin przeszli w niespełna 6 godzin południową ścianę Aiguille du Fou, a zaraz potem directe américaine na zachodniej Petit Dru — w 4 1/2 godziny do zaklinowanego bloku, skąd zjechali w dół. Obie drogi połączyli przelotem na dwumiejscowej lotni, na której też wrócili zwycięsko do Chamonix.

Takie „wiązańe” przejścia, zwane łańcuchówkami (enchâînement) są obecnie modne w Alpach, zwłaszcza francuskich. Wywodzą się ze skałek, a mają też już odpowiedniki w Tatrach (T. 2/82 s. 78). Oto kilka nowszych przykładów:

Logiczną łańcuchówką wślawił się w dniach 1—15 lutego 1982 Renato Casarotto, który połączył kilka dróg, m.in. Rattiego na

Patrick Bérhault i Jean-Marc Boivin. Zdjęcie z „Alpinisme et Randonnée” nr 37.

Aiguille Noire, Gervasuttiego na Pointe Gugliermi i centralny filar Freney, w „najdłuższą drogę na Mont Blanc”. Przejście trwało długo, ponieważ towarzyszyła mu prawdziwie parszywa pogoda. W dniu 9 lipca 1982 znani nam już Escoffier i Lacroix przebiegli w 1 dzień directe américaine (5 1/2 godziny) i filar Bonattiego (5 1/4 godziny) na Petit Dru. Minionej zimy tenże sam Escoffier pokonał w ciągu 21 godzin („ze schroniska do schroniska”) Filar Narożny (2 godziny) i filar Freney (10 godzin), ze szczytu Mont Blanc schodząc flanką Brenva. W tym samym czasie — 10 marca — instruktor FFM, Laurent Schmitter, zrobił w jeden dzień dwie *premieres solitaires* na Mont Blanc du Tacul. Lecz rekord zimy znów należy do Christophe Profita, tego, co to nie liczy czasu na wspinaczkę. 25 lutego 1983 o północy wszedł on w północną ścianę Les Droites, by przejść ją drogą Devaille'a w 3 godziny 15 minut. Pod zejściem zostawił uprzednio narty, na których dotarł pod północną ścianę Talèfre. Tu droga Gabarrou

zajęła mu tylko 2 godziny. Na zejściu czekała druga para nart, które posłużyły do przerzucenia się pod Grandes Jorasses. Nie bacząc na załamanie pogody, Profit pokonał w 3 1/2 godziny Całun, schodząc Graniańską kółek z powrotem. Łącznie 3000 m deniwelacji, 3 duże północne ściany i 23 godziny „od schroniska do schroniska”.

*

Alpiniści, kaskaderzy, czy aktorzy show-businessu? Na razie nie jest ich wielu, ale będzie więcej, ponieważ ekstrawagancje łatwo znajdują naśladowców, zwłaszcza jeśli lansują je aktualnie ogólnie uznani mistrzowie. „Możemy tylko wyrażać podziw dla wirtuozerii i szybkości Berhaulta i Boivina — pisała *La Montagne* po ich łańcuchówce z użyciem lotni. — Ale masuwa się też pytanie, jakie będą dla naszej dyscypliny sportowej konsekwencje takich wyczynów, nastawionych na zadziwianie i zaskakiwanie opinii publicznej.”

Ano, pożyjemy i zobaczymy.

Halina Krüger-Syrokomska

Po raz pierwszy związałam się z nią liną na wysokości 8000 m, pod samym wierzchołkiem Gasherbruma II. Wcześniej jakoś nie nadarzyła się okazja, mimo iż często spotykaliśmy się w górach. Halinka była pierwszą damą polskiego alpinizmu, gdy ja zaczynałam się interesować wspinaniem. To ona pokonała, z różnymi partnerkami, kolejne zakłętą dla kobiet bariery — klasyczną na Zamarłej, środek Kazalnicy, Wariant R, filar Trollryggen... W moich czasach drogi te stały się klasycznymi drogami dla pań. A Halina była dla mnie bardziej legendą polskiego alpinizmu, niż partnerką, nawet po dwóch miesiącach pobytu na wspólnej wyprawie. Skomplikowany splot przypadków doprowadził do tego, że nieoczekiwanie znaleźliśmy się, tylko we dwie, o długość liny od szczytu Gasherbruma II... „Tu Anka i Halina, jak nas słyszycie, odbiór.” I nagły wybuch radości w bazie — tak ogromny, iż nawet nie musieliśmy mówić, że jesteśmy na szczycie.

Nasz zespół był więc dziełem przypadku. Mimo, że połączył nas sukces, każda z nas wróciła do swoich przyjaciół i do swoich planów górskich. Dopiero jesienią 1976 roku mieliśmy jechać do Szwajcarii, zbierać laury za pierwsze czysto kobiece wejście na ośmiotysięcznik. Byłam zaskoczona i dumna, gdy Halinka zaproponowała mi, żebyśmy przedtem pojechały we dwie powspinać się w Chamonix. Ze wspinania niewiele wyszło. Tylko raz, nie zważając na nieustanne burze, współ z Alison Onyszkiewicz przeszliśmy grań Kuffnera na Mont Maudit. Resztę ulewnej kanikuly przeleżałyśmy w namiocie na dzikim campingu. Mimo, że dzie-



Halinka...

liło nas prawie wszystko — usposobienie, zainteresowania, podejście do życia, nawet sposób przeżywania gór — zaprzyjaźniłyśmy się i zaczęłyśmy snuć wspólne plany: grań Tatr w zimie, Bezingi, Himalaje... A potem rok po roku próbowałyśmy te marzenia realizować. Zarówno na grani Tatr, jak i na Murze Bezingi ciężko walczyłyśmy z pogodą o każdy dzień, żeby dojść jak najdalej. W końcu i tu, i tam, musiałyśmy się poddać. Również na Makalu wczesny jesienny Monsun nie dał nam zbyt wielu szans. Ale najważniejsze było po prostu być w górach, znajdować przyjemność we wszystkim.

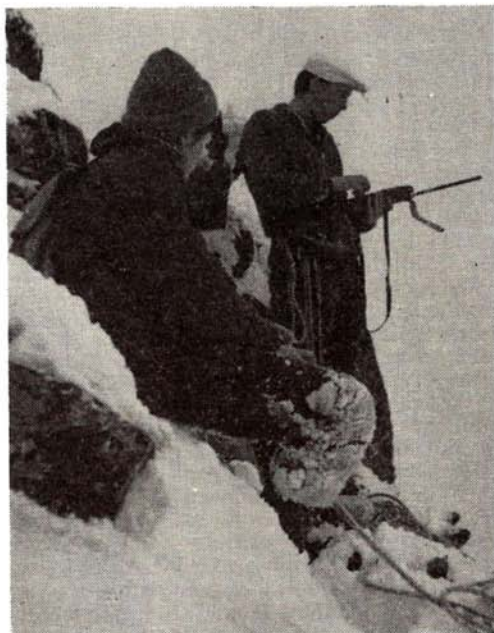
Halinkę cechował niezwykle dar jasnej oceny sytuacji. Wyrażała ją lapidarnym, często dosadnym zdaniem. Zazdrościłam jej, że zawsze potrafiła zdecydować od razu, kiedy należy kontynuować wysiłki, a kiedy pogodzić się z sytuacją. A godziła się z takim samym zaangażowaniem, z jakim podejmowała walkę, nigdy nie pozostawała obojętna czy bierna. Znana była z ciętego dowcipu, ale i pogody ducha. Wydawało się, że w każdym zdarzeniu potrafi znaleźć tyl-

ko dobre strony a zapomnieć o złych. Dopiero z czasem zrozumiałam, ile ją to kosztowało. „Mam nerwy zszarpane przez tę całą wyprawę; tylko tyle daje mi zdrowy rozsądek” — powiedziała kiedyś na Gasherbrumach. Bo wbrew pozorom była bardzo wrażliwa i przeżywała wszystko głęboko. Ale nie potrafiła pozostawać z boku.

Od początku działalności górskiej pracowała w Klubie Wysokogórskim w komisjach sportowej, szkoleniowej, propagandy. W r. 1974 została wiceprezesem, a następnie prezesem KW w Warszawie, równocześnie pełniąc różne funkcje w PZA. Była dobrym prezesem. Dbała zawsze o interesy całego klubu, popierała inicjatywy, wносиła ogromny wkład w organizację wypraw, w których sama nie miała uczestniczyć. Zawsze mawiała, że w życiu jej jednakowo ważne są dom, praca i góry. Niezwykła aktywność pozwalała jej utrzymać działalność we wszystkich tych sferach na wysokim poziomie.

Z wykształcenia była historykiem sztuki. Najpierw pracowała w czasopiśmie „Fotografia”, później w Wydawnictwach Artystycznych i Filmowych, a wreszcie w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Gdy powierzono jej kierownictwo jednej z redakcji książkowych, obowiązki zawodowe zmusiły ją do zrezygnowania z funkcji prezesa KWW. Ale nie wytrzymała długo i podjęła się organizacji wyprawy kobiecej na K2. Wyprawa ta rodziła się przez dwa lata w ogromnych trudnościach różnorodnej natury. Halinka pokonywała je z determinacją. Gdy wreszcie dotarliśmy w Karakorum, wydawało się, że najgorsze jest za nami. Nawet pogoda, która od dwóch miesięcy była fatalna, odmieniła się w dzień naszego przybycia do bazy. Przy zakładaniu obozów działaliśmy z Halinką w różnych zespołach. Dopiero po kilku dniach akcji znaleźliśmy się tylko we dwie w bazie wysunętej. Powyżej, na Zebrze Abruzzów, byli Austriacy. Nasze dziewczęta zeszły w dół, do bazy. I po całym rejdach karawany i pierwszych wyjściach w góry zapadł spokojny zmierzch. Obie odczułyśmy niezwykłą ulgę. Nareszcie po prostu w górach.

W obozie pierwszym spotkałyśmy Austriaków, którzy przeczekiwali wiatr. Jaki wiatr? Dla nas takich przeszkód nie było. Czuliśmy się znakomicie. Jutro obóz II... Dotarliśmy tam wczesnym popołudniem. Halina przyszła zmęczona, ale zadowolona z siebie — „to nie Gasherbrumy, pani Aniu, trzeba się wspinać”. Posiedzieliśmy jeszcze trochę u Austriaków, z którymi zdążyłyśmy się już zaprzyjaźnić. Wreszcie ułożyłyśmy się w namiocie, czekając na umówiony kontakt z bazą. Przemarznięta na wietrze, obawiając się przeziębienia, wzięłam aspirynę i zasnąłam. „Jak się czujesz?” — zapytała z troską Halina, gdy się przebudziłam. I za chwilę straciła przytomność. Nie odzyskała jej mimo godzinnej akcji podawania tlenu, sztucznego oddychania i masażu serca, pro-



Podczas akcji ratunkowej w Tatrach zimą 1972

wadzonej przez czterech Austriaków i ich oficera Fajaza. Przez dwa dni znosiliśmy ją w dół, aby pochować na symbolicznym cmentarzu w żębrze skalnym schodzącym z K2.

*

Stoimy nad rozpadliną skalną. Po krótkiej mowie Wandy zapada milczenie. Nic już nie można zrobić. Futschi wyciąga harmonijkę ustną i gra przeraźliwie smutną piosenkę tyrolską o dziewczynie, która prosi przewoźnika o zabranie na drugi brzeg rzeki. Powoli wszyscy schodzą do bazy. Siedzę nad grobem i patrzę na Grań Abruzzów. Nie mogę uwierzyć.

Anna Okopińska

Od Kazalnicy do Gasherbrumów

Gdy w parę miesięcy po śmierci Haliny przeglądałam jej górskie notatki, przypomniała mi się rozmowa, jaką kiedyś prowadziliśmy w Tatrach. Był koniec maja 1981 r., góry świeciły jeszcze zupełną pustką. Rok wcześniej, podczas wspinaczki z kursantami na Zadnim Kościelcu, Halina uległa poważnej kontuzji i po skomplikowanej operacji kostki przez wiele miesięcy nie mogła nawet marzyć o wspinaniu. Ten majowy wyjazd był dla niej pierwszy po długiej przerwie. Pamiętam, jak denerwowała się przypinając do butów raki, pamiętam też wielką ulgę malującą się na jej twarzy,

gdy w parę godzin później — po przejściu Zlebu Mnichowego i filarka Porębskiego — znaleźliśmy się na szczycie Zadniego Mnicha. Wiedziała już, że wypadek nie zostawił poważniejszych następstw — powiedziała wtedy: „Wiesz, Andrzej, miałam niezłego stracha; właściwie do dziś nie byłam pewna, czy będę się mogła dalej wspinać. Zrobiłam wiele dróg, kilkanaście niełychych, takich, co to naprawdę są coś warte. Ale szkoda by było, gdyby to miał być już koniec.”

Myślę, że warto przypomnieć przynajmniej te drogi Haliny, o których powiedziała „niełiche”.

Pierwsze trzy sezony letnie w Tatrach nie zapowiadały — jak sama nieraz wspominała — żadnej rewelacji. Motyka na Zamarłej, Stanisławski na Mnichu, parę dłuższych graniówek — to były osiągnięcia najciekawsze. Zimą 1959—60 przeszła m.in. prawy filar Cubryny i północną Mięgoszowieckiego Szczytu. Wśród jej partnerów z tamtych lat nie było prawie kobiet. Przełom nastąpił latem 1960 roku. Andrzej Paczkowski pisał później o tym w książce „Od Łomnicy do Mont Blanc”: „Ewenementem sezonu — może w trakcie tamtego lata, tak obfitego w sukcesy, niezauważalnym — była działalność zespołów kobiecych, a w praktyce promotora większości przejść, Haliny Krüger. W zmiennym towarzystwie Małgorzaty Surdel (-Nykowej), Danuty Topczewskiej (-Baranowskiej) i Janiny Zygadlewicz przeszła m.in. środek północnej ściany Kazalnicy, Zabią Turnię, kant hakowy Mnicha, płyty Wrześniaków na Zamarłej. Symbolicznym niejako było jej przejście wraz z D. Topczewską drogi klasycznej na południowej ścianie Zamarłej Turni. Od śmiertelnego wypadku siostr Skotnicównien otoczona była Zamarła legendą nie sprzyjającą podejmowaniu podobnych prób.”

Dzisiaj sukcesy te nie wydają się niczym niezwykłym, ale 23 lata temu były to pierwsze kobiece przejścia dróg uważanych za bardzo poważne. I nie będzie przesady jeśli stwierdzimy, że wyczynowe taternictwo czysto kobiece tak naprawdę zaczęło się od tych kilku dróg z lata 1960 roku.

Lato 1961 przyniosło jej przejścia jeszcze trudniejsze. Z Danutą Topczewską przebyła północną ścianę Małego Kieżmarskiego drogą Stanisławskiego, zaś z Wandą Błaszkińską-Łącką — lewą połąkę ściany Kazalnicy. W końcu lipca 1962 r. wraz z Janiną Zygadlewicz przeszła słynny wówczas Wariant R na Mnichu, a w sierpniu 1963 — w dwudniowej wspinaczce z J. Dyczkiem — lewy filar Kazalnicy, najtrudniejszą podówczas skalną drogę Tatr Polskich. Nie powiodły się jej natomiast dwie próby przejścia grani wokół Morskiego Oka, podjęte zimą 1963—64 w towarzystwie Janiny Zygadlewicz, a także pierwszy wyjazd w Alpy, na 8-dniowy obóz w Zermatt w sierpniu 1965.

W dwa lata później wyjechała Halina z Wandą Rutkiewicz do Chamonix. W dwu-



dniowej wspinaczce obie panie pokonały północno-wschodnią ścianę Aiguille du Grépon (3482 m) drogą Younga i Knubla. Było to pierwsze kobiece przejście tej drogi, bowiem w Alpach — jak i dziś zresztą — kobiety rzadko wspinały się w samodzielnych zespołach. Nie powiódł się natomiast Polkom atak na słynną drogę Bonattiego na Grand Capucin, z której w r. 1969 miały się wycofać raz jeszcze.

Tymczasem w lecie 1968 było spotkanie z górami Norwegii. Gdy po powrocie zapytałam Halinę o wrażenia, powiedziała: „Stary, dostałam za wspinanie puchar — jak prawdziwy sportowiec!” Tą krótką uwagą skwitowała swe wspaniałe osiągnięcie — pierwsze przejście kobiece a siódme w ogóle słynnego 1500-metrowego filara Trollryggen (z Wandą Błaszkińską-Rutkiewicz, 9—11 sierpnia). Sensacyjny sukces Polek nagrodzili Norwedzy specjalnymi pucharami. W „Taterniku” komentował go Andrzej Paulo: „Jest to chyba największy wyczyn w historii skalnego alpinizmu kobiecego w Polsce i jedno z najpoważniejszych przejść kobiecych w skali światowej.”

W r. 1969 Halina wzięła udział w pierwszym zimowym przejściu drogi Łąckiego na Małą Wołową Szczerbinę, latem zaś uczestniczyła w dorocznym spotkaniu „Rendez-vous Hautes Montagnes”, wchodząc granią Hörnli na Matterhorn. Lato 1970 przyniosło jej wyjazd w góry Azji Centralnej — w Pamiro-Ałaj i Pamir. 10 sierpnia wraz z Wandą Rutkiewicz i kilkoma kolegami stanęła na Piku Lenina (7134 m). A potem znowu były Tatry i kolejne zimy znaczone przejściami takich dróg, jak Korosadowicza na Kazalnicy, Stanisławskiego na Mnichu czy Łapińskiego na Kazalnicy (w lutym

1974 r. — z Jackiem Porębą). I wreszcie rok 1975 — spełnienie marzeń o górach najwyższych: wyprawa w Karakorum. Trudno w alpinizmie operować pojęciem „rekordu świata”, ale takim właśnie rekordem było wejście Haliny i Anny Okopińskiej na Gasherbrum II (8035 m). Był to przecież pierwszy ośmiotysięcznik zdobyty przez samodzielny zespół kobiety, a wyczyn podobny nie został do tej pory zrealizowany, choć już paręnaście pań przekroczyło magiczną granicę 8000 metrów. W kraju nagrodą był Złoty Medal za Wybitne Osiągnięcia Sportowe.

Efektom wyjazdu do Chamonix w r. 1976 było wejście drogą Kuffnera na Mont Maudit (pisze o tym Anna Okopińska). Rok później nastąpiły dwie próby zimowego przejścia kobiecego grani Tatr, również z Anną Okopińską — druga w dniach 2—9 lutego 1977 doprowadzona w ciężkich warunkach atmosferycznych aż do Przełęczy Wielickiej. Pisząc sprawozdanie do „Taternika” nazwała Halina to przedsięwzięcie „małym zimowym spacerem”.

W r. 1977 uczestniczyła w obozie wycieczkowym PZA w Kaukazie. Wraz z Do-

broslawą Miodowicz i Anią Okopińską przeszła — w kilka godzin! — północną ścianę Ułtauczany przez tzw. Deskę. Biwakowaliśmy wówczas obok naszych pań i dobrze pamiętam, jak Rosjanie kiwali głowami i powtarzali: „Ale te wasze himalajskie dziewczyny trzymają tempo!” Następnego lata w składzie wyprawy KW Warszawa znalazła się pod Makalu (8481 m) — skończyło się na niezbyt zaawansowanej próbie, podobnie jak rok później w Kaukazie, gdzie zła pogoda udaremniła zamiar trawersowania Muru Bezingi. Była jeszcze próba przejścia zimowej grani Fogaraszy w Rumunii, a wreszcie w r. 1980 ów kursowy wypadek na Zadnim Kościelcu. Na szczęście już latem 1981 r. Halina mogła znowu znaleźć się w Alpach, przechodząc z Anną Okopińską północny filar Aiguille du Chardonnet, grzędę Brenva na Mont Blanc, wreszcie centralny filar Les Courtes.

Wspinając się w Alpach, myślała już o przyszłorocznym powrocie w Karakorum, pod najwspanialszy szczyt świata, K2. Nie przeczuwała, że zostanie pod nim na zawsze.

Andrzej Skłodowski

LEON SZUBERT

Góry i doliny po naszymu

Nasi wydawcy dobrze o tym wiedzą, że książki górskie, a już tatrzańskie w szczególności, nie zajmują długo miejsca na księgarskich półkach. Dlatego chętnie sięgają do tej tematyki, zwłaszcza, że i krąg poczytnych autorów rozrasta się z roku na rok. O zamierzeniach wydawniczych z dziedziny górskiej pisał ostatnio „Taternik” w numerze 1/1981. Od tego czasu nasze domowe biblioteczki wzbogaciły się o kilkanaście pozycji, które warto by na tych łamach szczególnie omówić, a zanim to nastąpi — przy najmniej odnotować. Spójrzmy więc, co nam w ciągu ostatnich dwóch lat zaofiarowały poszczególne oficyny wydawnicze:

Wydawnictwo Literackie

1. We wrześniu 1981 r. pojawiła się w księgarniach książka Jerzego Młodziejowskiego „Moja tatrzańska symfonia”. Wspomnienia obejmują okres bez mała półwiecza, autor zaś jest, jak wiadomo, geografem, muzykiem-kompozytorem i taternikiem, a więc każdy z nas znajdzie w tej uroczej gawędzie coś dla siebie. Stron 276, nadto osobny arkusz z ilustracjami. Nakład 30 000 + 350 egz., cena zł 50.

2. W październiku 1981 r. otrzymaliśmy gruby tom „Gawęd Skalnego Podhala” w wyborze i opracowaniu Włodzimierza Wnuka. Starsze pokolenie zna już niejedną z tych opowieści, ale są i takie, które czyta się po raz pierwszy. Wartość ich podnosi



piękna gwara góralska, którą autor, jako zakopiańczyk, włada z dużą biegłością. Stron 516, do tego wszywka ze zdjęciami. Nakład 30 000 + 350 egz., cena zł 75.

3. W lipcu 1982 ukazała się książka Władysława Krygowskiego „W litworowych i piarzystych kolebach”. Jest to jak gdyby dalszy ciąg jego wspomnień wydanych przed pięcioma laty pod tytułem „Góry i doliny po mojemu”. Teksty uzupełniają ciekawe, rzec można historyczne już zdjęcia. Stron 224, nakład 20 000 + 350 egz., cena zł 120.

4. Późną wiosną 1983 r. otrzymaliśmy kolejną pozycję z emblematem „WL” — tym razem powieść społeczno-filozoficzno-taternicką „Mieguszowiecki”. Jej autorem jest Witold Juliusz Kapuściński, lekarz z zawodu, słowo wstępne napisał literat i taternik, Piotr Wojciechowski. Książka ma szansę stać się schroniskową lekturą na długie tatrzańskie siapawice. Stron 345, nakład 10 000 + 345 (zaledwie!), cena zł 120.



Młodzieżowa Agencja Wydawnicza

W tym samym czasie, co książka Piotrowskiego, ukazał się inny obraz zimowej przygody w wielkich górach: „Rozmowy o Everestcie”, których autorami są Leszek Cichy, Krzysztof Wielicki (oba zdobywcy szczytu) oraz Jacek Zakowski (dziennikarz). W przeciwieństwie do dwóch poprzednich pozycji, jest to relacja z wydarzeń sprzed zaledwie dwóch lat, a więc publikacja dość aktualna. Zapewne m.in. dlatego zyskała tak żywe przyjęcie wśród czytelników, a także kontrowersyjne opinie. Aż dziw bierze, że ta niewielka książeczka ma być kwintesencją utrwalonych na taśmie przeszło 30 godzin rozmów (!) i blisko 1000 stron notatek. Stron 176, nakład 39 650 + 350 egz., cena zł 55. Po osobistych zwierzeniach obu himalaistów czekamy na bardziej obiektywne sprawozdanie z tej tak ważnej dla historii alpinizmu wyprawy.

Krajowa Agencja Wydawnicza

Do swojej serii z „7” wydawnictwo to włączyło krótką i lekko napisaną historię naszych pierwszy wejść na najwyższe szczyty Himalajów i Karakorum — Andrzeja Paczkowskiego „Siedem wielkich gór”. Po kolei towarzyszymy naszym wyprawom w wejściach na Nanda Devi East, Kunyang Chhish, Kangbachen, Shisparé, Broad Peak Middle, Gasherbrum III i obie Kangchendzongi — Południową i Środkową. Mapki i rysunki uplastyczniają relację, a całość jest nie tylko do czytania, ale także do uczenia się dziejów naszego alpinizmu. Stron 165, nakład 50 000 + 350, cena zł 35.

Sport i Turystyka

Paręnaście lat temu wydawnictwo to było niemal monopolistą w dziedzinie książki górskiej. Później pozycję tę straciło, pozostaje jednak w naszej tematyce oficyną najważniejszą.

1. W czerwcu 1982 r. otrzymaliśmy z „SiT” „Góralskie opowieści” Józefa Kapeniaka — opowiadania wybrane z dwóch jego zbiorów: „Przeciw ludziom i żywiołom” (1957) oraz „Wierchowcy wykroci” (1961). Stron 224, nakład 10 250 egz., cena zł 98.

2. W tym samym czasie przemknęła przez półki księgarni wydana w zbyt małym nakładzie książeczka Elmara Jenny „Ratownik w górach”, najlepszy poradnik ratownictwa górskiego w całej literaturze światowej, zalecony przez IKAR do powszechnego użytku. Stron 163, nakład 10 230 egz., cena zł 75.

3. W lipcu 1982 r. ukazała się książka Wojciecha Wróza pt. „Święta góra Sikkimu”, zapiski z wyprawy na dziewicze wierzchołki Kangchendzongi w r. 1978, głównie zresztą wierzchołek południowy, gdyż zdobywcy środkowego autor poświęcił zaledwie 11/2

5. Zasluga „Wydawnictwa Literackiego” jest również wydanie dzieła Jacka Kolbuszewskiego „Tatry w literaturze polskiej 1805—1939”. To potężne tomiśko stanowi dySSERTACJĘ doktorską autora z roku 1965, a zarazem pierwszą i drugą część jego rozprawy o piśmiennictwie tatrzańskim. Jako praca naukowa, jest to dla zwykłych zjadaczy chleba taternickiego rzecz ciężkawa do przegryzienia, ponieważ jednak humanistów też wśród nas nie brakuje, dla nich pozycja ta stanowi prawdziwą gratkę. Stron 664, nakład 10 000 + 350 egz., cena (w płóciennnej oprawie) 280 zł.

Nasza Księgarnia

W maju 1982 r. ukazała się — nie tylko dla dzieci i młodzieży — książka Wojciecha Brańskiego „Do Himalajów, wiecznych śniegów skarbnicy”. Jest to druga z kolei praca o naszej wyprawie na Kangbachen w roku 1974, na szczęście wiele miejsca poświęcono w niej samemu Nepalowi i jego fascynującej starej kulturze. Jak na nasze możliwości edytorskie, tom wydany jest niemal luksusowo: twarda okładka, dobry papier, dużo bardzo interesujących zdjęć. Stron 270, nakład 20 000 + 300 egz., cena zł 100.

Iskry

Popularna seria „Naokoło świata” tego wydawnictwa przyniosła nam już kilkanaście wartościowych pozycji górskich. W lipcu 1982 r. ukazała się w niej książka „Gdy krzepnie rtęć” Tadeusza Piotrowskiego, relacja z pierwszego zimowego wejścia na Noszak przed 10 laty. Sprawa niby odległa, a przecież jakże aktualna w okresie zimowych zmagani z ośmiotysięcznikami, zapoczątkowanych tam właśnie przez Polaków. Istotny składnik reportażu stanowią liczne dokumentalne zdjęcia, niestety na nie najlepszym poziomie drukarskim. Stron 188, nakład 30 000 + 250 egz., cena zł 100.

strony. Książkę ilustruje 50 zdjęć na dwóch wkładkach rotograviurowych, zamykają ją notki biograficzne uczestników wyprawy oraz krótkie kalendarium. Stron 196, nakład 30 230 egz., cena zł 90.

4. Latem 1982 weszła też do sprzedaży książka Anny Czerwińskiej „Trudna góra Rakaposhi”, opowieść o polsko-pakistańskiej wyprawie na ten szczyt w r. 1979. Relację z wydarzeń poprzedza zwięzły rys historii zdobywania szczytu (miał on dotąd tylko 1 wejście), kończy ją zaś warte zapamiętania zdanie: „Samy wnosimy w góry konflikty i od nas samych zależy, czy więcej będzie w górach dobra czy zła.” Stron 120, nakład 20 230 egz., cena zł 65.

5. Wojciech Wróć pisał we wstępie do swojej książki (SiT pozycja 3) o dwóch relacjach z wyprawy na Kangchendzongę w r. 1978. Ta druga — praca zbiorowa pod redakcją Piotra Młoteckiego — ukazała się jednak dopiero w marcu 1983 r. — z tytułem „Dwie Kangczendzongi”. W odróżnieniu od subiektywnego obrazu Wrócia, tu chodzi o sprawozdanie w miarę obiektywne, wszechstronne oświetlające przebieg owej świetnej pod względem wyników wyprawy. Pochwalić należy szatę ilustracyjną książki — kolorowe zdjęcia tak rzadko przecież udają się naszym drukarniom. Nakład 29 750 + 250 egz., stron 196, cena zł 130.

6. W lipcu 1983 roku ukazało się od dawna oczekiwane dzieło Zbigniewa Kowalewskiego i Janusza Kurczabą „Na szczytach Himalajów”, pełna historia podboju najwyższych gór świata, doprowadzona aż do roku 1981, a nawet 1982. Teksty uzupełniają mapki i liczne, starannie dobrane fotografie masywów górskich, częściowo uzyskanych od zagranicznych autorów. Ponieważ książka ta pod względem zakresu informacji nie ma odpowiednika w literaturze światowej, warto dołożyć starań, by ukazała się też w którymś z języków zachodnich. Stron 462, nakład 27 750 + 250 egz., cena zł 520.

Przy SiT odnotujmy też z radością, że w stadium produkcji weszły ostatnie tomy „Tatr Wysokich” Witolda H. Paryskiego. Powinny one wyjść z druku w roku przyszłym.

Czytelnik

1. Z początkiem 1982 r. oficyna ta przekazała nam ładnie wydane wznowienie klasycznej już książki Wiktora Ostrowskiego „W skale i lodzie”, uzupełnione nowym rozdziałem o spotkaniu z Aloszą Malejnowem — po 43 latach. Pierwsze wydanie ukazało się w r. 1937, drugie w 1974. Stron 175, nakład 20 320 egz., cena zł 140.

2. I na zakończenie tego przeglądu wydawnictw (z pewnością nie całkiem kompletnego) coś extra! W swej serii z jamnikami „Czytelnik” wydał we wrześniu 1982 kryminał alpinistyczny José Giovanniego „Śmierć w górach”. Akcja tej mroźnej krew

w żyłach opowieści toczy się trochę w Paryżu, głównie jednak w Chamonix oraz na północnej ścianie Dru. Czego w niej nie ma! Są nawet kawałki zaginionego alpinisty, któremu z pietysmem urządził się pogrzeb, okazuje się wszakże, iż ów zaginiony wspinacz żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Stron 192, nakład... 160 320 egzemplarzy (czyli niewiele mniej, niż wszystkich omówionych tu pozycji razem wziętych!), cena zł 50.

OD REDAKCJI. Z uwagi na pozycję Polski w alpinizmie światowym, nasze reportaże wyprawowe cieszą się dużym zainteresowaniem za granicą — redakcja „Taternika” zasypywana jest prośbami o pomoc w uzyskaniu egzemplarzy. Wartość ich dla czytelników zachodnich podniosłoby krótkie streszczenia w języku angielskim, zawierające podstawowe informacje o poszczególnych wyprawach, a także dwujęzyczne podpisy pod zdjęciami, jak to praktykowane jest w wydawnictwach np. japońskich. Mamy nadzieję, że nasi wydawcy książek górskich — a także ich autorzy — zechcą wziąć tę sugestię pod uwagę.

GOŚCINIEC, RELAX, KARKONOSZE WIERCICA

Już pełny rok ukazuje się w miesięczniku PTTK „Gościniec” stała kolumna taternicka „Spacerkiem po skale”. Podobny dział, zatytułowany „Alpinizm”, prowadzi Władysław Janowski w „Jeleniogórskim Informatorze Kulturalnym”, który od maja 1983 zamiennie się w miesięcznik „Karkonosze”. Wiadomości tam zamieszczane odnoszą się głównie do wspinaczek w rejonie Sudetów, choć nie tylko. Od lipca 1983 stała rubryka wysokogórska wprowadza miesięczny dodatek do „Kuriera Polskiego” pt. „Relax”, w którego dawniejszej wersji kolumną taternicką opiekował się niezapomniany Marek Malatyński. Informacje publikowane w tych kącikach nie są na ogół powtarzane w „Taterniku”.

Na prośby czytelników, redakcja „Wiercicy” postanowiła wznowić wszystkie dotychczasowe numery swego biuletynu. Planowane jest wydanie 11 tomów, obejmujących lata 1954—1982. Dodatkowo ukaże się skrowidz nazw i nazwisk, obejmujący także numery późniejsze. Początek wznowień przewidziany jest na IV kwartał 1983, ostatni tom miałyby wyjść na jubileusz 30-lecia Speleoklubu Warszawskiego. Orientacyjna cena całości: ok. 6000 zł, skrowidza — 500 zł. Zamówienia subskrypcyjne przyjmowane będą do końca października. Redakcja zwraca się do starszych członków Klubu o pomoc w zebraniu najwcześniejszych numerów, a także wydawanych równolegle drobnych publikacji, jak „Kaskady” czy „Okreźnica”.

Polacy na Dhaulagiri 1983

W skład Gdańsko-Toruńskiej Wyprawy na Dhaulagiri 1983 wchodził: Eva Demand (RFN, lekarz bazowy), Zbigniew Dudrak, Mirosław Gardzielewski, Jacek Jezierski, Sepp Kathrein (Austria), Tadeusz Łaukajtys (zastępca kierownika), Andrzej Mierzejewski, Waław Otręba, Wojciech Szymański (kierownik), Tadeusz Karolczak i Aleksander Lwów (dwaj ostatni dołączyli się w Katmandu). Karawana trwała 15 dni, bazę założono na wysokości 4600 m w dniu 22 kwietnia, ale kilka dni wcześniej dotarli pod północną ścianę rekonesans pod wodzą Łaukajtysa. 27 kwietnia stanął obóz I na Przełęczy Północno-Wschodniej (5780 m). Następnie założono na drodze normalnej obozy II (6550 m, w jamie śnieżnej) i III (7050 m, namioty). 14 maja wyszli z bazy Gardzielewski, Jezierski, Łaukajtys i Otręba, którzy 17 maja założyli obóz IV (ok. 7500 m). Przenocowawszy w nim, podjęli 18 maja atak szczytowy, stając po godzinie 16 na wierzchołku

(8167 m, II polskie wejście). Wskutek niepełnej aklimatyzacji schodzili b. wolno, przy czym Łaukajtys — odczuwający już wysokość — zgubił kurtkę puchową i rękawice. Biwak bez sprzętu na wysokości ok. 7500 m był b. ciężki — dla Jezierskiego i Łaukajtysa zakończył się poważnymi odmrożeniami. Następnego dnia czwórka dotarła do obozu IV, a 20 maja wieczorem — do obozu III, gdzie byli idący w górę Lwów i Karolczak. Wobec braku spiworów, trzech kontynuowało zejście aż do przełęczy, Łaukajtys został pod opieką Lwowa i Karolczaka, którzy go 21 maja opuścili do obozu I. Po przenocowaniu, 22 maja sprowadzali go w fatalnej pogodzie (brak widoczności, groźba lawin) do bazy. 23 maja obaj chorzy opuścili w towarzystwie eskorty bazę. Z miejscowości Beni zabrał ich wezwany helikopter. W czasie trwania wyprawy pogoda była dobra, choć często popadywało.

Aleksander Lwów



Konferencja Himalajska w Monachium

himalaizmu w ostatnich 15 latach. W trzecim dniu obrad dokonano podsumowania, uchwalono też kilkanaście wniosków. Dla PZA znaczenie ma oficjalne stwierdzenie Konferencji, iż za sezon zimowy w Himalajach przyjmuje się zimę kalendarzową (21 XII — 20 III), natomiast okres „grudzień — styczeń” wprowadzony przez władze Nepalu ma charakter zarządzenia wewnętrzno-administracyjnego i jako taki winien być respektowany w sprawach organizacyjnych.

W dniach od 23 do 25 marca 1983 odbyła się w Monachium zorganizowana przez Deutscher Alpenverein międzynarodowa konferencja, w której udział wzięli himalaści, eksperci i dokumentaliści wysokogórscy — jak to określono — od Japonii po USA. Wyodrębniono 3 kręgi tematyczne: 1) problemy naukowo-dokumentalistyczne; 2) turystyka i alpinizm w Himalajach, ich wpływ na kraje i ludy; 3) praktyka działalności wyprawowej. Delegacja PZA — tworzyli ją Andrzej Paczkowski i Józef Nyka — przygotowała dwa referaty: „14 szczytów ośmiotysięcznych” oraz „Wyprawy zimowe w Himalaje”. Z poszczególnych referatów, w tym także nadprogramowego wystąpienia gen. Qamara Ali Mirzy o rozwoju alpinizmu w Pakistanie, wyłonił się obraz wybitnej pozycji Polski w kształtowaniu się

Na Konferencji poświęcono wiele uwagi problemom gospodarczym, ekologicznym i społecznym, związanym z rozwojem turystyki i alpinizmu w Himalajach. Referenci — wybitni ekologowie, socjologowie i publicyści — obciążali turystów i alpinistów wszystkimi możliwymi grzechami, pomiędzy wierszy ich wystąpień można było jednak przeczytać, iż w gruncie rzeczy wyprawy i trekkingi grają w dewastacji przyrodniczej i społecznej rejonu Himalajów rolę raczej marginalną, np. w porównaniu z obejmującym miliony ludzi ruchem pątniczym, czy też antropopresją wynikającą z katastrofy przeludnienia. Wiele szkód przypisywanych alpinistom bądź turystom po bliższym zbadaniu okazuje się mieć całkiem inne tło.

Józef Nyka

Co nowego w Tatrach?

SUPERSĆIEK BEZ PORĘCZOWANIA

Pod koniec zimy kalendarzowej przeszliśmy jednym ciągiem „supersćiek” na ścianie Kotta Kazalnicy. Wspinaczkę rozpoczęliśmy 18 marca, o godzinie 6. Warunki lodowe były dobre od samej podstawy ściany. Pierwszy wyciąg — pod „portal” — wiódł w całości po lodzie, także płyty nad „portalem” były w większości pokryte lodem. Powyżej „dzwonu”, aż do Kotła, szliśmy już prawie wyłącznie po lodzie. Najwięcej trudności sprawiły nam delikatne hakówki w „portalu” i „dzwonie”, a przyczyną był brak w naszym wyposażeniu kilku grubych haków, co trochę zwolniło tempo wspinaczki. Dzięki zastosowaniu na odcinkach lodowych techniki frontalnej, posuwaliśmy się bardzo szybko, prawie cały czas w rakach. Podciąg w lodzie stosowaliśmy sporadycznie — załedwie na kilku metrach.

Wieczór pierwszego dnia zastał nas nad „dzwonem”. Wspinaczkę kontynuowaliśmy przy świetle laterek czołowych. Około północy będąc ok. 50 m ponad „dzwonem” urządziliśmy wiszący odpoczynek. Ten „minibiwak” trwał tylko 3 godziny — pogoda, w dzień dobra, choć mroźna, wieczorem pogorszyła się, a w nocy zaczął sytać śnieg. Zaniepokojeni tym, około godziny 4 rano przerwaliśmy odpoczynek i w śpiących się z Kotła pyłótkach wspinaliśmy się dalej. Trudności ukończyliśmy o godzinie 9 rano, wchodząc w mgłę i śnieżyce do Kotła. O godzinie 10 byliśmy na kulminacji Kazalnicy.

Z założenia wspinaliśmy się „na lekko” — zabraliśmy tylko kurtki puchowe, 1 linę 80 m, 20 haków, 8 haków specjalnych, 8 śrub i 30 karabinów. Była to ilość wystarczająca, jeśli nie liczyć wspomnianego braku kilku grubszych rynien. Po naszym przejściu pozostały 2 jedynki przy wyjściu z „dzwonu” i 1 hak na wysokości „pochylej półki”. Ilość starych haków na drodze jest znikoma, spotkaliśmy natomiast 6 nitów. Przejście dostarczyło nam wspaniałych i niezapomnianych wrażeń, a jedynym przykrym akcentem były liny pozostawione przy poprzednich próbach, żłośnie zwisające spod „dzwonu”. Pozawiewane w lewo na wariant Rusieckiego, stanowią one niemiły dysonans w tym pięknym poesejnym urwisku i nie najlepiej świadczą o swych byłych właścicielach.

Zastanawiające, że mimo ogromnego postępu techniki lodowej i wielu prób naszych najlepszych wspinaczy, droga ta przez 9 lat miała tylko dwa powtórzenia — oba z poręczowaniem. Nasze przejście jest czwartym w ogóle a pierwszym bez poręczowania. Od wejścia w ścianę aż po kulminację Kazalnicy droga zajęła nam 28 godzin — z trzygodzinnym minibiwakiem. Efektywny czas wspinania wyniósł 25 godzin, i taki należy przyjąć dla powtórzeń tej drogi — aż do ponownego skrócenia. Ostatnie lata doprowadziły do zdevaluowania się niektórych wielkich zimowych dróg w Tatrach. Wydaje się jednak, że „supersćiek” będzie się długo skutecznie temu procesowi opierał. Na razie droga ta oczekuje pierwszego przejścia jednodniowego — my byliśmy już blisko.

Marek Danielak i Maciej Paulikowski

NA SŁOWACJI

Latem 1982 przebyłem samotnie dwie ściany w Tatrach Słowackich: 1 sierpnia południową ścianę Kieźmarskiego Szczytu tzw. olbrzymim zacięciem

(czas przejścia 7 godzin, asekurowałem się na 7 wyciągach) oraz 2 sierpnia Żółtą Ścianę (jej północno-wschodni filar) drogą Orolina i Krissaka (7 godzin, asekurowałem się na pięciu wyciągach). Ta druga droga nie miała dotąd być może polskiego przejścia. 29 lipca 1982 przebyłem z W. Przybyłowiczem prawy filar wschodniej ściany Baraniego Mnicha (opadający do Dolinki Dzikiej). Przypuszczamy, iż było to pierwsze przejście tej formacji (por. WHP 20 s. 72). Trudności drogi III, czas 1 1/2 godziny.

Piotr Lutyński

KAZALNICA 1982

Uzupełniając artykuł A. Marcisza w T. 2/82 s. 78 chciałbym dorzucić parę szczegółów naszego szybkiego przejścia lewego filara Kazalnicy latem zeszłego roku. W dniu 16 sierpnia wspólnie z Wojciechem Brylą przeszedłem go z tzw. wyprostowaniem w czasie 2 godzin. Czas mierzyliśmy od wejścia w ścianę, tj. od piargów — aż do siodełka na filarze. Jest to, jak dotąd, najlepszy wynik na tej drodze, zważywszy, że czas jej przejścia oceniany był na 5 1/2 godziny (T. 4/80 s. 172). Oczywiście tak szybkie pokonanie drogi jest możliwe tylko dzięki kompletowi tkwiących w niej haków („nadkomplet”, jak się to obecnie mówi). Do asekuracji używaliśmy pętli ekspresowych, nie mieliśmy ławeczek ani młotków. Natomiast w dniu 16 września wraz z Władysławem Vermessym przeszedłem drogę „Pajaków” na Kazalnicy — z miejscem A0 na trzecim wyciągu. Kluczowy jest jednak wyciąg pierwszy, do tej pory pokonywany hakowo, którego trudności prowadzący Vermessy ocenił na VI 2,5 w skali krakowskiej. Drogę cechuje duże nagromadzenie trudności i z tej racji może ona pretendować do miana jednej z najważniejszych w Tatrach.

Tomasz Klimczyk

KAZALNICA, MŁYNARCZYK

Chciałbym wnieść uzupełnienie do informacji „Lato nad Morskim Okiem”, zamieszczonej w „Taterniku” 1/1982 na s. 33. Drugiego lub trzeciego całkowitego przejścia drogi Korasa i Wolfa na ścianie Kotła Kazalnicy dokonałem wraz z J. Pitońkiem 21 września 1980 r. Zajęła nam ona 10 godzin, schodząc, spotkaliśmy Krzysztofa Pankiewicza, który robił tego dnia drogę Czyżewskiego i Kurtyki. Droga ma w opisie 2 miejsca A0, które udało nam się pokonać klasycznie. Przy okazji słowo rekomendacji dla drogi Kowala, Klonowskiego i Samolewicz na Młynarczyku. Przeszliśmy ją 31 sierpnia 1980, nie wiemy, czy powtarzał ją ktoś przed nami. Wspinaliśmy się 5 godzin, trzeci wyciąg — sklasyfikowany A1, A2 — przebyliśmy czysto klasycznie. Jako długoletni czytelnik „Taternika” chciałbym wyrazić życzenie, aby publikował on także opisy dróg wytyczanych przez wspinaczy czechosłowackich.

Stefan Bednár

ZAWODY NARCIARSKIE PZA 1983

W niedzielę 8 maja 1983 przy pięknej słonecznej pogodzie rozegrano w Kotle Gąsienicowym tradycyjne już zawody narciarskie PZA. Zwykle odbywały się one w Dolinie Pięciu Stawów, co powodowało zażalenie z Dyrekcją TPN. Pragnąc tego uniknąć — zgodnie z wskazaniem Prezesa PZA

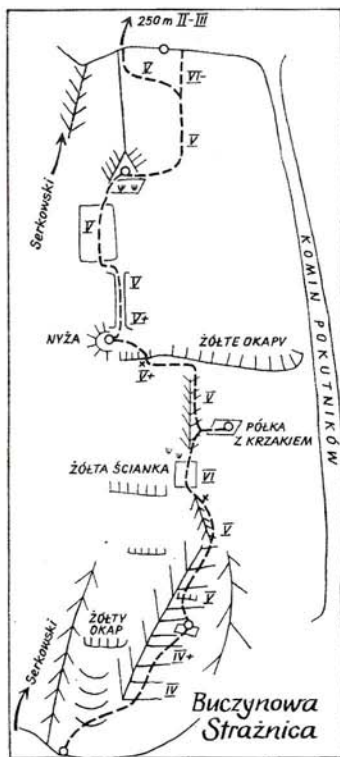
5. Marek Przeworski (SKW)	— 1.19.67
6. Jerzy Strzelecki (KWW)	— 1.33.27
7. Michał Zieliński (PKG)	— 1.36.43
8. Marek Głogoczowski (KWW)	— 1.37.21
9. Bogdan Urbanski (KW Trójmiasto)	— 1.40.22
10. Andrzej Kosiński (SKW)	— 1.41.18

- | | |
|--------------------------------|-----------|
| 1. Małgorzata Gładkowska (KWW) | — 1.37.93 |
| 2. Małgorzata Wojtych (KWZ) | — 1.47.09 |
| 3. Danuta Gąsienica (KWZ) | — 2.11.75 |
| | |
| 1. Roman Dawidek (KWZ) | — 1.17.24 |
| 2. Piotr Konopka (KWZ) | — 1.17.29 |
| 3. Krzysztof Malzacher (KWZ) | — 1.18.64 |
| 4. Kazimierz Burzykowski (KWZ) | — 1.18.67 |

Najlepszym wręczono nagrody ufundowane przez PZA. Na szczególne wyróżnienie zasługują przedstawiciele „średniej” generacji – Andrzej Kuś (obecnie Rzeszów) i Jan Strzelecki (Warszawa), którzy ambitnie dotrzyмали kroku „gniewnej” młodzieży. Tak więc impreza ta, rozegrana we wspaniałej scenarii wiosennych Tatr, była także w ramach zbliżania taternickich pokoleń bardzo udana. A więc do zobaczenia na nartach w następnym roku.

Maciej Pawlikowski

Nowe drogi w Tatrach



Direktissima północno-wschodniej ściany: Roman Kaluza i Michał Zieliński 25 VIII 1982. Najłagodniejsza za dróg na Buczynową Strażnicę, piękna płytowa wspinaczka w dużej ekspozycji ale w litej skale i z dobrymi stanowiskami. Na płycie słaba asekuracja.

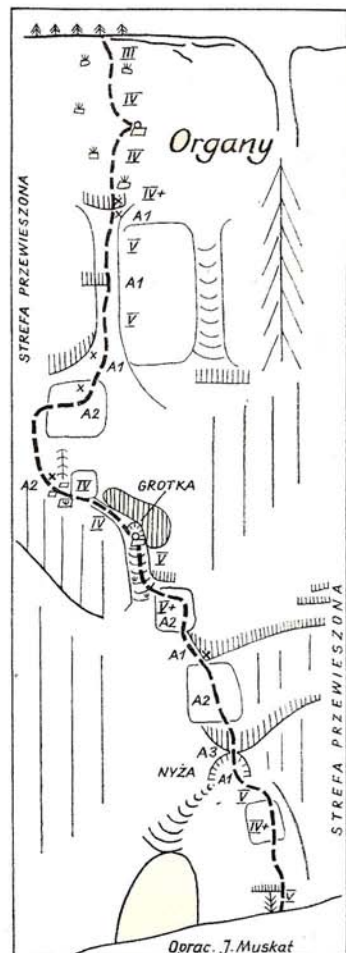
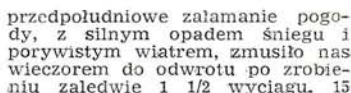
Początek drogi w linii spadku przełamania dwóch wybitnych płyt, w miejscu, gdzie piargi schodzą najniżej. Ok. 15 m skośnie w prawo niewielka depresja pod płytą.

towe zacięcie i nim dalej w prawo w skos do północzku. Stąd dalej zacięciem w górę (V) do filark, którym pod żółtą ściankę (hak). Ścianką w górę (VI) m. trawiastą półkę pod zacięciem, którym 5 m w górę na szeroką półkę z krzakami (stanowisko). Tym samym zacięciem pod żółte okapy. Pod nimi trawers w lewo 7-10 m (V), po czym przez przewieszke (V+) na półkę z niża. Dalej kominkiem (V-), a po wyjściu z niego 2 m w lewo i do góry ścianką (V) aż do miejsca, gdzie kant płyt tworzy uskok z trójkątnym okapiem. Z półki (stanowisko) przewinięcie w prawo na wielką płytę ograniczającą Komin Pokutników. Wyjście na środek płyty i w górę (V). Ok. 10 m przed jej końcem albo w lewo na kant (V), albo prosto do góry rysa (VI-) na wierzchołek turnicy. Stąd 250 m II-III na Bucznowa Strażnice.

M. Zieliński

Nowa droga w rejonie lewego filara: Mirosław F. Daśal i Michał Momatiuk, 13, 15-18 III 1982. Trudności V+, A1, A2. Schemat na s. 24.

Wejście w ścianę mniej więcej w połowie odległości pomiędzy drogami Długosza a „ostroga filara” — wyraźnym trójkątnym wcięciem z wysoko podchodzącym śniegiem. Aż do półek pod filarem wiedzie zupełnie samodzielnie. Od półek do półki z krzakami łączymy się z drogą Długosza. (Naszym zamiarem było pojsć pomiędzy „Długoszem” a „kantem filara”, lecz niepewna pogoda i niedostatek żywności wprowadziły korektę do planu). Z półki z krzakami zdecydowanie w lewo i do góry. Na progu depresji wspólnie stanowisko z „Długoszem” i Wielkim Zacięciem. Dalej dziwną polacją ściany z lewej strony depresji do góry z lekkim odchyleniem z lewo do granki oddzielającej Kocioł (Sanktuarium) od Kazalnicy. Stąd łatwym trawiastym zachodem do przelazki wyściowej. Wspinaczkę rozpoczeliśmy 13 marca wczesnym rano, jednak



Opnac. 7. Muskat

marca ponowiliśmy atak i 18 po południu osiągnęliśmy wierzchołek Kazalnicy.

M. F. Dąsał

ORGANY

Prawą częścią ściany przez przewieszone płyty: Mirosław F. Dąsał i Jan Muskat 19 i 21 IX 1981. Trudności V+ A2, miejsce A3, 13 godzin.

Droga, zwłaszcza jej górny komin, jest dobrze widoczna z Hali Pisanej. Ekspozycja duża, skała lita, poza jednym miejscem w dojściu do niż. Duże nagromadzenie trudności hakowych (użyliśmy 4 jedynek). W ścianie zostawiliśmy 7 haków śladowych. Po dokładniejszym zbadaniu, górna grota może się okazać jaskinią — ja wszedłem do środka 2 m, dalej drogę zagradzały kamienie i rumosz skalny. Szczegóły drogi na rysunku.

M.F. Dąsał



Taternicy a TPN

Rys. Piotr Lutyński

Wyprawy w góry egzotyczne

W GÓRACH AFRYKI RÓWNIKOWEJ

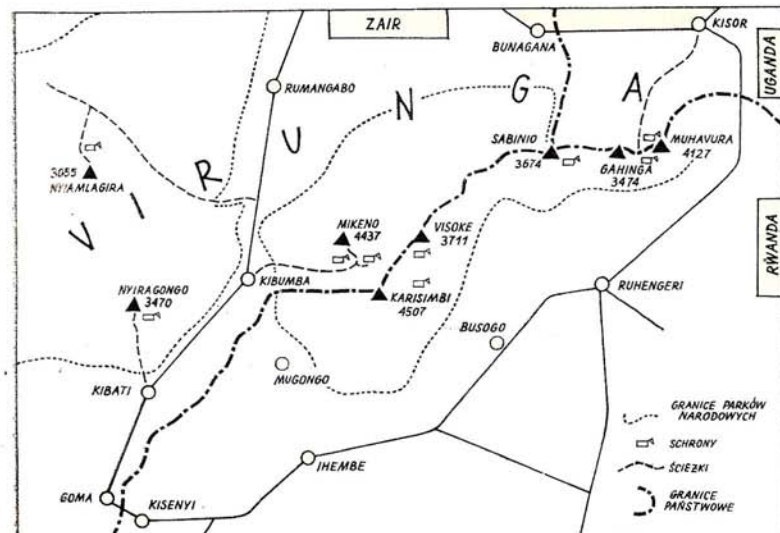
Latem 1982 r. wyruszyła z kraju wyprawa Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie. Celem było poznanie wulkanicznego masywu Virunga, położonego na pograniczu Ugandy, Rwandy i Zairu. W wyprawie uczestniczyli: Michał Bayer, Grzegorz Gregorczyk, Urszula Jarmuś, Jacek Kałużko, Małgorzata Korsak, Andrzej Mieszkowski, Jacek Niekuła, Renata Piotrowska, Marcin Sobkowski (kierownik), Janusz Szporer i Andrzej Wiesiołek. W dniach od 13 do 29 października 1982 uczestnicy weszli na 7 najwyższych wierzchołków masywu: Karisimbi (4507 m), Mike-no (4437 m), Visoke (3711 m), Nyiragongo (3470 m), Gahinga (3474 m), Muhavura (4127 m) i Sabinyo (3674 m). W świetle posiadanych materiałów, na 4 z ich stanieliśmy jako pierwsi Polacy: 15 października na Mike-no (Mieszkowski, Sobkowski i Szporer), 17 października na Visoke (Gregorczyk, Korsak, Mieszkowski, Niekuła, Piotrowska, Sobkowski, Szporer i Wiesiołek), 25 października na Gahinga (Bayer, Jarmuś, Korsak, Mieszkowski, Nie-

kuła, Sobkowski, Szporer i Wiesiołek) oraz 28 października na Sabinyo (Bayer, Mieszkowski i Sobkowski). Charakter wspinaczkowy miały jedynie wejścia na Mike-no (południowo-wschodnią ścianą, III) i Sabinyo (południową granią, II), a poniekąd także obejście krawędzi krateru czynnego wulkanu Nyiragongo (Gregorczyk, Mieszkowski, Niekuła, Sobkowski i Szporer. I).

Góry Virunga („Dymiące Góry”) tworzą łańcuch składający się z 8 dużych wulkanów — najwyższym jest położony centralnie Karisimbi (4507 m). Z punktu widzenia alpinisty najciekawsze są zerodowane wulkany Mike-no i Sabinyo. Pierwszy z nich ma pionowe ściany do 800 m wysokości. Grań Sabinyo tworzy kilka postrzępionych turni, opadających 1000-metrowymi ścianami do kanionu, który powstał na miejscu dawnego krateru. Jeśli chodzi o działalność polską, prowadził tu kiedyś swe badania antropolog Jan Czekanowski. W r. 1929 podczas wyprawy łowieckiej na wierzchołki Nyiragongo, Nyiamlagirę i Karisimbi wszedł Leon ks. Sapieha. W 10 lat później, 18 marca 1939 r. na Muhawurze stanęli Tadeusz Bernadzikiewicz i Tadeusz Pawłowski.

Po drodze w góry Virunga nasza wyprawa dokonała wypadu w Ruwenzori (28 września — 6 października), podczas którego przebyto niezbyt trudną grań Mugule (4450 m) — Wasuwame (4365 i 4462 m).

Janusz Szporer
Marcin Sobkowski



Rys. Justyna Nyczanka

Wypadki i ratownictwo

WYPADKI TATERNICKIE W ZIMIE 1982-83

Omawiany sezon charakteryzował się mniejszym ruchem taternickim, mniej też było wypadków, a w dodatku te, które się wydarzyły, nie były — z wyjątkiem jednego — groźne dla życia ofiar. Trzy poważne wypadki miały miejsce w masywie Cubryny, od lat znanym jako bardzo niebezpieczny. Kilku taternikom wyraźnie tej zimy dopisało szczęście, a ich przygody mogły mieć finały o wiele smutniejsze. Ze względu na to, że do GT GOPR nie docierają relacje ze strony słowackiej, niniejsze omówienie odnosi się tylko do terenu Tatr Polskich.

W dniu 27 grudnia 1982 około godz. 16 z grani szczytowej *Cubryny* spadł na Zadnią Galerię Cubryńską Andrzej Pusz (41) z Gliwic. Prawie 200-metrowy „lot” zakończył się na szczęcie niegroźnymi obrażeniami. Partner poszkodowanego zawiadomił GOPR z Popradzkiego Stawu, dokąd dotarli około godz. 21.45, błądząc w zejściu. Po całonocnej akcji rannego odnaleziono około godz. 6 rano. Schodząc, ratownicy znaleźli się w zasięgu lawiny ze zboczy Miedzianego, która zniszczyła tobogan, na którym transportowano A. Puszę. Transport dokończono na akii dostarczonej ze schroniska.

28 grudnia sprowadzono ze stoków *Małego Kościelca* taternika z Krakowa, który — wyczerpany i wychłodzony — ugrzązł w kosówkach nieopodal schroniska. Powracał ze wspinaczki granią Kościelców.

29 grudnia na trasie zjazdowej poważnemu wypadkowi narciarskiemu uległ taternik z Krakowa, Jacek Jaworski. Tylko szybka pomoc narciarzy i akcja reanimacyjna, podjęta przez znajdującego się na miejscu wypadku lekarza, uratowały mu życie.

30 grudnia na drodze od Morskiego Oka na Włosienkę zagarnięty został przez lawinę z *Białego Złubu*, a raczej jej podmuch, Piotr Bitner (26) z Poznania. Nie odniósł on żadnych obrażeń i wydobył się sam, przed przybyciem Pogotowia.

15 lutego 1983 podczas zejścia z *Wielkiej na Małą Galerię Cubryńską* z „deską” śnieżną spadł do Mnichowego Złubu i zmarł w wyniku urazów Włodzisław Kierzak (25) z Legnicy.

16 lutego dzięki śmiałej akcji śmigłowiec zostali uratowani Mieczysław Bejnara (26) i Antoni Jurkiewicz (32) z Olsztyna, Ireneusz Plichta (22) z Torunia oraz Andrzej Wandas (26) z Krakowa. Wspinając się granią Walentkowej, zabiwakowali oni w *Dolinie Wiercheichej*. Odmrożenia i wychłodzenie uniemożliwiły im samodzielne dotarcie do schroniska, a życiu ich zagrażało bezpośrednie nie-

bezpieczeństwo. Akcję komplikował borywisty wiatr, dość niebezpieczny dla śmigłowca. Wspinacze wyraźnie przecenili swoje siły i kwalifikacje.

13 marca podczas zejścia z *Wielkiej na Małą Galerię Cubryńską* wydarzył się ponownie groźny wypadek. Do Złubu Mnichowego spadł Jacek Kermen z Łodzi, łamiąc sobie „tylko” rękę. Poszkodowany szybko dotarł do schroniska, aniżeli jego partnerzy.

17 marca rejon *Walentkowej* był po raz drugi tej zimy widownią akcji GOPR. Granią wspinął się Marek Wachsberger z Gliwic, jednakże w opuszczeniu uskuo i powrocie do ludzi musiało mu pomóc Pogotowie. Osłabiony i zdenerwowany taternik wciągnięty został na pokład śmigłowca pozostającego w zwisie i przetransportowany do szpitala.

2 kwietnia zwieziono z górnych partii *direttissimi Raptawickiej Turni* Piotra Waloszyka (23) z KW Warszawa z kontuzją nogi. Spędził on na stanowisku ok. 20 godzin, ponieważ partner uniemożliwił mu wycofanie się ze ściany, przepinając linę do zjazdu przez karabinki i wiążąc na niej węzły (?). Sam zresztą spędził noc wisząc na linie parę metrów nad ziemią, salwując się rano kilkumetrowym skokiem. Warto dodać, że odwrót rozpoczęto około godz. 16, znajdując się 15-17 m przed końcem drogi i obawiając się zapadnięcia ciemności przed ukończeniem wspinaczki.

5 kwietnia wydobyto z rejonu półek na wschodniej ścianie *Mnicha* wycofującego się z Wariantu R Krzysztofa Janiszewskiego z Warszawy. Przy czynną utknięcia było poprzedniego dnia przetarcie się (!) liny zjazdowej. Jego partner, Maciej Rzeszutko z Warszawy, dotarł mimo to do schroniska i zawiadomił ratowników. Taternika wyprowadzono trawersem przez półki, kończąc akcję o godzinie 3 rano.

5 kwietnia w czasie zjazdu na siedzeniu Złubem spod *Miedzianego*, komplikowanego złamania nogi doznała Emilia Mróz z Warszawy, niezbyt szczęśliwie sterując czekaniem.

Na zakończenie tej niewesołej statystyki warto odnotować dwie sprawy:

I. Wspinając się tej zimy koledzy nie zawsze umieli zachować stan właściwej równowagi między swoimi możliwościami i umiejętnościami, a optymizmem w planowaniu zamierzeń. Decydując się w schronisku na taką czy inną drogę nie orientowali się często w panujących na niej warunkach, które na miejscu okazywały się trudniejsze od spodziewanych.

II. Minionej zimy taternicy chętniej niż dawniej brali udział w akcjach ratunkowych, nie szczędząc sił i zapалу, za co Ratownicy GT GOPR wyrażają im serdeczne podziękowanie.

Piotr Malinowski

Z naszej poczty

SPOTKANIE WSPINACZKOWE W GENEWIE

W dniach od 19 do 23 maja 1983 odbyło się w Genewie spotkanie poświęcone wspinaczkę klasycznej, zorganizowane przez genewską sekcję Club Alpin Suisse. W imprezie tej, oprócz wspinaczy z Austrii, Belgii, Grecji, Holandii, Jugosławii, Francji, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii, uczestniczyli dwaj przedstawiciele PZA — Jan Fijałkowski oraz Krzysztof Pankiewicz. Program obejmował wspinaczki w rejonie Saleve pod Genewą oraz sesje pokazowo-dyskusyjne, poświęcone różnym aspektom współczesnej czystej wspinaczki klasycznej. Pomimo fatalnej pogody (chłody i deszcze) pokonano szereg dróg w tamtejszych skałkach, rodzajem skały oraz rozmiarami

najwyższych ścian żywo przypominających nasz rejon Raptawickich Turni.

Odbyliśmy 7 wspinaczek o trudnościach do VII (UIAA) włącznie. Podczas sesji dyskusyjnych przedstawiliśmy sprawy związane ze wspinaczką skałkową w Polsce oraz rejonach piaskowcowych NRD (zagadnienia asekuracji i techniki przy pokonywaniu nowych dróg, problemy czystości stylu, ryzyka oraz etyki wspinaczkowej). Przejęcia gęsto „onitowanych” dróg w rejonie Saleve oraz dyskusje wykazały, że dla większości uczestników klasyczne wspinanie na rzeczywiste trudnych drogach ogranicza się do czystego pokonywania odcinków pomiędzy kolejnymi hakami asekuracyjno-odpocynkowymi. Nasze rygorystyczne podejście do czystości wspinania oraz klarowności

stylu nawiązało nie porozumienia pomiędzy nami a wspinaczami brytyjskimi. Ta „wieź duchowa” powstała z przeświadczenia, że trudna czysta wspinaczka skałkowa nie może być grzeczną i pozbawioną ryzyka zabawą dla każdego, lecz powinna jednak (na szczęście) dostarczać „dreszczyku”, w sposób naturalny selekcjonującego amatorów.

Pragnę podkreślić, że spotkania tego rodzaju, coraz częściej organizowane w różnych krajach Europy (równolegle z mityngiem genewskim odbywało się spotkanie w Verdon we Francji), mają duże znaczenie dla ciągłego podnoszenia poziomu wspinaczki klasycznej. W związku z tym uważam, że wskazane byłoby przygotowanie (w niezbyt odległym terminie) podobnej imprezy w Polsce.

Krzysztof Pankiewicz

CZY ORGANIZOWAĆ ZAWODY WSPINACZKOWE?

Francuska prasa alpinistyczna coraz to więcej miejsca poświęca dyskusjom na temat zawodów wspinaczkowych. Miesięcznik „Alpinisme et Randonnée” w numerze 2/1983 publikuje m.in. wypowiedź Yvesa Ballu, pełnomocnika do spraw sportów górskich Ministerstwa Młodzieży i Sportu, który jesienią ubiegłego roku był oficjalnym obserwatorem takich mistrzostw w ZSRR na Krymie. Yves Ballu twierdzi, że alpinizm wyczynowy zawsze krył w sobie cechy współzawodnictwa, chociaż we Francji nikt nie próbował nurtu tego organizować ani kodyfikować. Tak np. w alpinizmie nie przyznaje się tytułu mistrza kraju, jakkolwiek mistrzów takich kreuje niewątpliwie prasa specjalistyczna...

„Moje zapatrywania osobiste — pisze Yves Ballu — nie mają żadnego znaczenia. Liczy się jedynie stanowisko Ministerstwa, które — jako organ administracji państwowej — nie będzie zawodów organizowało, ani też ich zabraniało. Interweniować może jedynie w sprawy ściśle związane z bezpieczeństwem uczestników. Decyzję muszą podjąć sami wspinacze (może ich większość), a jej urzeczywistnieniem zająć się organizacje alpinistyczne.”

Francuski mistrz wspinaczki skalnej, słynny Patrick Edlinger, jest zwolennikiem mistrzostw wspinaczkowych, zwłaszcza po swoim zeszłorocznym starcie na Krymie (T. 2/82 s. 80).

Helena Sławińska

„BETLEJEMKA” 1982

Jak wielu początkujących, tak i ja przeżywałem emocje na sierpniowym turnusie w „Betlejemce”. Dwa razy więcej chętnych aniżeli miejsc — kluby nie przestrzegały widać zbyt ściśle przydzielonych im limitów. Wśród kandydatów nie brak było takich, którzy nie potrafili sobie poradzić z przywiązaniem liny do upręży czy z założeniem klucza zjazdowego. Wnioskować z tego można, iż nie wszystkie ośrodki realizują program kursu I stopnia, jeżeli taki w ogóle organizują. Dla podniesienia poziomu szkolenia, PZA powinien zatwierdzać obsadę instruktorską albo też dać szczegółowe wytyczne co do trybu i zakresu kursów. A teraz inna sprawa. Po emocjach wywołanych zakwalifikowaniem na kurs wyszliśmy z budynku, żeby wyjeżdżający mogli się bez tłoku spakować. Po powrocie stwierdzono brak dwóch puchowych śpiworów. Później, w trakcie trwania turnusu, jednej z koleżanek zginęły pieniądze z plecaka. Z opowiadań wiem, że na poprzednim turnusie wcale nie było lepiej. Kradzieże zaczynają być plagą psującą przyjemność przebywania w górach i w taternickiej społeczności. Świadomość tego, że po powrocie ze wspinaczki mogą nie zastać namiotu, śpiwora czy czegoś innego ze sprzętu, stwarza dodatkowe obciążenie. A przecież ekwipunek jest obecnie bardzo drogi i dla jego zdobycia trzeba wielu rzeczy sobie odmówić. Nie jest również budująca świadomość, że na drugim końcu liny może się znajdować ktoś o, delikatnie mówiąc, zwężnietętej moralności... Z plagą tą trzeba walczyć, potępić wszelkie przejawy nieuczciwości, prowadzić akcję wychowawczą.

Ryszard Gos

W OBRONIE PIĘCIU STAWÓW

Od dłuższego już czasu na łamach „Taternika” odbywa się prawdziwa nagonka na schronisko w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, a raczej na przemieszkujących w nim taterników. Jako stały bywalec tej bazy, zorientowany jestem we wszystkim, co się tu dzieje latem i zimą. A naprawdę nie dzieje się nic złego!

Jeśli chodzi o rzekomo niski poziom kwalifikacji taterników tu przebywających i związane z tym jakoby wypadki, to nie uważam, by sytuacja w Pięciu Stawach była o wiele gorsza, aniżeli na Hali Gasienicowej czy nad Morskim Okiem. Latem 1981 r. głośna była sprawa dwójki, która nie mając odpowiedniego przygotowania wybrała się na drogę Pilcha na Zamarłej, gdzie z powodu błędów w asekuracji uległa wypadkowi. O ile mi wiadomo, ludzie ci byli świeżo upieczonymi absolwentami „Betlejemki”, niedawno przybyłymi z Hali.

Inny zarzut dotyczy tego, że bywalcy Pięciu Stawów nie wspinają się poza tą doliną. Nic podobnego! Wyjść stąd do dolin sąsiednich jest — choćby z racji centralnego położenia — więcej, niż znad Morskiego Oka czy z Hali. Sam wspiniałem się stąd dużo w przyległych rejonach, z Kazalnica i Mieguszowieckimi Szczytami włącznie. Nie są też słuszne pretensje o to, że taternicy pięciostawiańscy wspinają się wyłącznie na Zamarłej. Wiele się chodzi po Kozim Wierchu, w otoczeniu Zadniego Stawu, od paru lat stałe rośnie zainteresowanie Dolinką Bucynową z jej wielkimi klasycznymi drogami — sam mam drobny udział w jej popularyzacji, nie mam sezonu, żebym się tam nie wspinął.

Kolejna sprawa, to alkohol. I tu też nie uważam, by w Pięciu Stawach był on większym problemem, niż np. nad Morskim Okiem, gdzie dwa wyszynki piwa (wszak to też alkohol) — w schronisku i przy Włosienicy — stwarzają dogodniejsze warunki do urządzania „balang”. Dodam przy tym, że wbrew pozorom regulamin obozowiska PZA nie doprowadził wcale do abstynencji mieszkających tam taterników, tyle, że wódkę pija się w konspiracji.

Latem 1982 w rejonie Szalasisk wielu kolegów, wśród nich i ja, spędzało noce pod gwiazdami, dowiadując się od szefa „taboriska”, że wszystkie miejsca są zajęte, a przepisy nie zezwalają na przyjęcie ani jednej osoby więcej. W schronisku pięciostawiańskim takie przypadki nie mają miejsca. O ile mi wiadomo, nigdy się nie zdarzyło, ażeby Józef Krzeptowski, kierownik schroniska, odmówił komukolwiek noclegu, a już zwłaszcza taternikowi. Korzystając z łamów naszego pisma, chciałbym mu w imieniu własnym oraz szerokiej rzeszy taterników pięciostawiańskich złożyć serdeczne podziękowanie za sympatię, jaką nas darzy, i opiekę, jaką nas otacza. Dziękujemy!

Jacek Mastalerz

CZŁOWIEK SIĘ NIE ZMIENIŁ

Słyszysz się coraz częściej, że małe śmiałe zespoły atakują himalajskie olbrzymy. W doniesieniach o tych wyczynach brzmi zawsze nuta chępliwości. A przecież nie zapominajmy, że to nie człowiek się zmienił, lecz przede wszystkim warunki, w jakich dziś działa: udostępnienie terenu, jego poznanie, sprzęt, wiedza o aklimatyzacji i możliwościach organizmu ludzkiego. Czy w ogóle możemy się dziś porównywać z alpinistami przedwojennymi, którzy — idąc w niewiadome — atakowali Nanga Parbat, Kangchendzöngę, Everest, K2 nieomal gołymi rękami? Ich odwaga i ich trud były bez porównania większe od wyczynów dzisiejszych sportowców. Ciekawe, czy Messner byłby takim bohaterem, gdyby mu przyszło wędrować pod Everest dwa miesiące, cierpiąc na skorbut i inne choroby, a potem wspinąć się na 8000 metrów z ciężkim, prymitywnym sprzętem. Zbyt rzadko wracamy do historii — młode pokolenie jej nie zna i dlatego wydaje mu się, że wszystko tworzy samo.

Jerzy Wała

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA, ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Redaktor: Józef Nyka, ul. Klaudyń 12 m. 79,
01-684 Warszawa. Tel. 330-775.

Adres Redakcji:

00-372 Warszawa, ul. Foksal 11 p. 206.
Tel. 26-44-47.

Adres Polskiego Związku Alpinizmu:

00-010 Warszawa, ul. Sienkiewicza 12 p. 444
Tel. 26-69-56

CENA ZŁ 80

PRENUMERATA:

Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich bądź tych, w których znajdują się oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy mieszczące się w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratorki indywidualni zamieszkali w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych (przy użyciu „blankietu wpłaty”) na rachunek bankowy: Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumeratorki indywidualni zamieszkali na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych bądź u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleńcówców indywidualnych i o 100% dla instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: Do 25 listopada na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku 1983.

WYDAWCA:

RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Biuro Reklam i Ogłoszeń, 00-679 Warszawa, ul. Wilcza 62. Telefon 28-07-32.

Druk: PZG RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa
ul. Smolna 10/12. Zam. 466. M-103.

Nr indeksu 37 901

CONTENTS

Association of Polish Alpine Clubs 1980—83 (A. Paczkowski)	1
80 years of Polish mountaineering organisation (J.A. Szczepański)	4
Polish-Mexican K2 attempt, 1982 (J. Kurczab)	7
Polish Makalu attempt, 1978 (J. Kurczab)	11
First ascent of the Makalu NW ridge (W. Kurtyka)	12
Makalu West Face, 1982 (A. Bilczewski, A. Machnik, A. Czok)	14—20
Routes on Makalu (Z. Kowalewski)	16
Matterhorn — Piola route in Winter (J. Wolf)	20
Winter climbs in the French Alps (A. Marcisz)	22
New climbing area in the Tatras (M. Pawlikowski)	25
Zadny Gerlach — airplane catastrophe in 1944 (J. Nyka)	28
Ice equipment and its use (P. Schubert)	29
New trends in Alpine climbing (J. Nyka)	32
Halina Krüger-Syrokomska — In memoriam (A. Okopińska and A. Skłodowski)	36
Polish Alpine book reviews 1981—83 (L. Szubert)	39
Polish Dhaulagiri Ascent, 1983 (A. Lwów)	42
Himalaya conference in Munich, 1983 (J. Nyka)	42

News from the Tatras — 43; New routes in the Tatras — 44; Expeditions — 10, 45; Mountain accidents — 46; Letters to the Editor — 46; Caving — 49.

INHALT

Verband Alpiner Klubs Polens 1980—83 (A. Paczkowski)	1
Zum 80. Geburtstag der polnischen Bergsteigerorganisation (J.A. Szczepański)	4
Versuch am K2-Nordwestgrat 1982 (J. Kurczab)	7
Polen zum Makalu 1978 (J. Kurczab)	11
Makalu-Nordwestgrat, neue Route (W. Kurtyka)	12
Makalu-Westwand, neue Route (A. Bilczewski, A. Machnik, A. Czok)	14—20
Makalu — Routenübersicht (Z. Kowalewski)	16
Matterhorn: Piola-Route im Winter (J. Wolf)	20
In den Französischen Alpen im Winter (A. Marcisz)	22
Polnische Bergsteiger in der Tatra — Winter 1982—83 (A. Skłodowski)	23
Neue Klettergipfel in der Tatra (M. Pawlikowski)	26
Zu der Flugzeugkatastrophe am Zadny Gerlach in 1944 (J. Nyka)	28
Bergsteigende Dichtung (J. Kolbuszewski)	28
Eisschrauben-Praxis (P. Schubert)	29
Halina Krüger-Syrokomska (A. Okopińska, A. Skłodowski)	36
Das Bergsteigen in den Alpen heute (J. Nyka)	32
Neue polnische Bergbrücker 1981—83 (L. Szubert)	39
Polen auf Dhaulagiri 1983 (A. Lwów)	42
Himalaya-Konferenz in München (J. Nyka)	42

Neues aus der Tatra — 43; Neue Routen in der Tatra 44; Expeditionen — 10, 45; Bergunfälle in der Tatra — 46; Briefe an die Schriftleitung — 46; Höhlenforschung — 49.

NAJWIĘKSZE JASKINIE POLSKI

Jaskinie o deniwelacji przekraczającej 100 m (z wyjątkiem ostatniej, wszyskie w Tatrach) — stan na 10 marca 1983:

1. Wielka Jaskinia Snieżna —763 m
2. Bańdzioch Kominarski 570 m (—552, +18)
3. Wysoka — Za Siedmioma Progami 427 m (—223, +204)
4. Wielka Litworowa 363 m (—356, +7)
5. Ptasia Studnia — Lodowa Litworowa —351 m
6. Czarna 299 m (—158, +141)
7. Miętusia —241 m
8. Małolącka —164 m
9. Miętusia Wyżnia 155 m (—105, +50)
10. Pod Wantą —151 m
11. Zimna ok. 150 m (—17, ok. +130)
12. Naciekowa ok. 103 m (—63, ok. +40)
13. Jasna (Sudety), zlokalizowana w kamieniołomie w Wojcieszowie, obecnie zniszczona 102 m (—80, +22).

Jaskinie dłuższe niż 1 km — z wyjątkiem dwóch, wszystkie położone w Tatrach. Stan na 10 marca 1983:

1. Bańdzioch Kominarski ok. 9200 m
2. Miętusia ok. 9065 m
3. Czarna ok. 6000 m
4. Wielka Snieżna ok. 5460 m
5. Wysoka — Za Siedmioma Progami 5256 m
6. Wielka Litworowa ok. 4100 m
7. Zimna ok. 3300 m
8. Ptasia Studnia — Lodowa Litworowa ok. 2750 m
9. Kasprowa Niżnia ok. 2350 m
10. Szczelina Chochołowska 2300 m
11. Niedźwiedzia (Sudety) ok. 2000 m
12. Naciekowa ok. 1500 m
13. Mylna ok. 1300 m
14. Bystrej ok. 1200 m
15. Magurska 1200 m
16. Szachownica (Wyżyna Krakowsko—Wieluńska) ok. 1000 m.

Rafał Kardaś

NOWA JASKINIA LODOWA W TATRACH

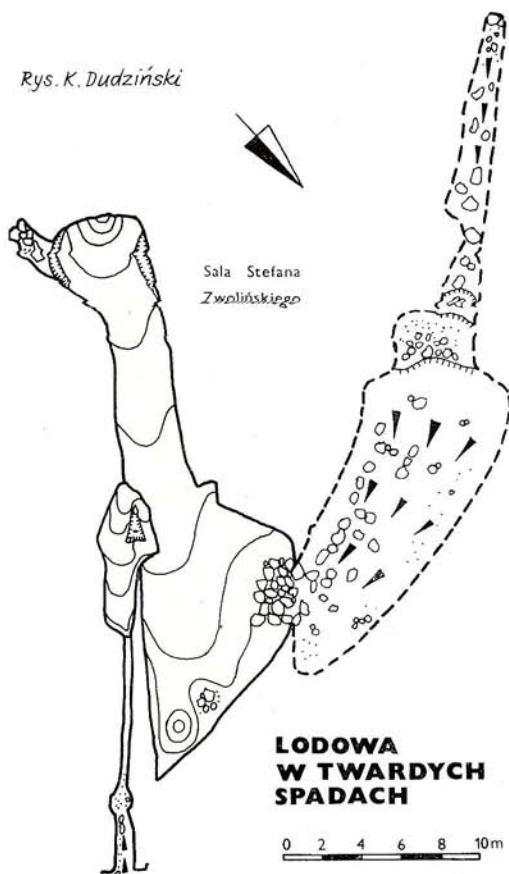
W dniu 8 sierpnia 1982 r. członkowie Speleoklubu Tatrzańskiego PTTK, G. Albrzykowski, W. Cikowski i K. Dudziński odkryli w ścianie Kazalnicy Miętusiej nieznaną jaskinię, nazwaną później „Lodową w Twardych Spadach”. Zawalisko w korytarzu wejściowym uniemożliwiało przedostanie się do wnętrza. Po uzyskaniu zezwolenia w dyrekcji TPN, zespół podjął regularne prace eksploracyjne. W ich wyniku poznanych zostało ok. 100 m korytarzy o łącznej deniwelacji 40 m. Odkryto 2 duże sale, z których jedna — o wspaniałej lodowej

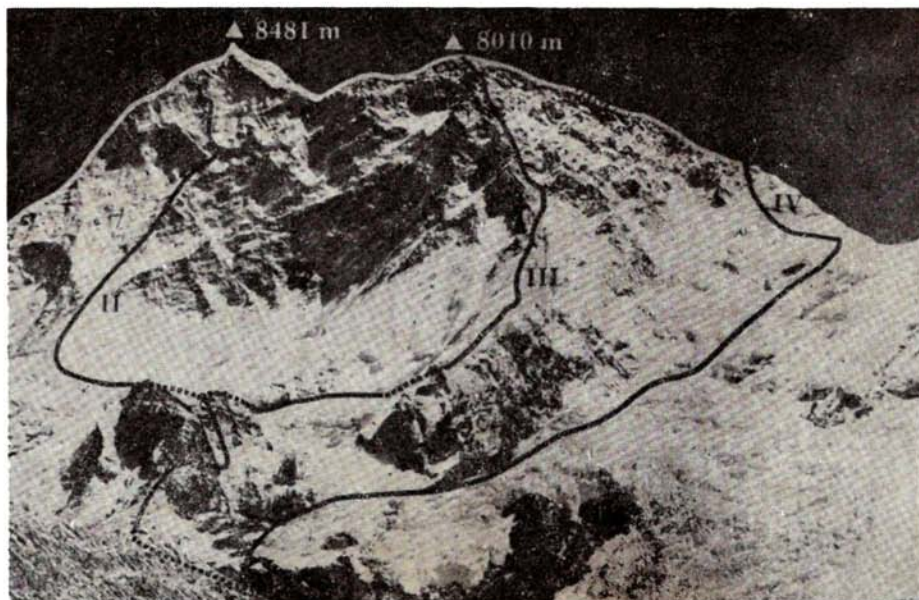
szacie naciekowej — nazwana została imieniem Stefana Zwolińskiego. Gdy wydawało się, że jaskinia już dalej nie „puści”, odkryte zostało przejście w zawalisku, które doprowadziło do drugiej wielkiej sali.

Za otworem wejściowym jaskini korytarz lekko opada i po 3 m przechodzi w ciasny 7-metrowy korytarzyk o przekroju soczewki. Doprowadza on do salki, której dno i częściowo ściany pokrywa warstwa lodu. W jej południowo-wschodniej części znajduje się okno, przez które prowadzi 12-metrowy zjazd do Sali im. S. Zwolińskiego. Jej dno pokrywa lód o grubości 1—5 m. W najszerszej części znajduje się zawalisko, przez które można przejść do drugiej sali, wznoszącej się pod kątem 20°. Z okna w tej sali można się dostać do 10-metrowego komina i zawaliskowego korytarza, kończącego jaskinię i stanowiącego jej najwyższy punkt.

Krzysztof Dudziński

Rys. K. Dudziński





Głównym tematem numeru są polskie wyprawy na Makalu. Na zdjęciu południowo-zachodnia strona tego masywu – z filarem Francuzów (1971, po lewej na tle nieba), drogą Jugosłowiańską (II, 1975), drogą czechosłowacką (III, 1976) i drogą japońską (IV, 1970). Reprodukacja z albumu I. Gálfyego i M. Krissaka „Makalu”.

Na s. 29 zamieszczamy cenny artykuł Pita Schuberta z DAV – o zastosowaniu i przydatności śrub lodowych. Na zdjęciu śruby i snargi przed próbami.

